

Filip Latzke

NAZNACZONY SZLAK



BookEdit

Filip Latzke

NAZNACZONY SZLAK

Copyright © Filip Latzke, 2025

Projekt okładki: Dawid Duszka

Ilustracje na okładce: stock.adobe.com

Redakcja i korekta: Erato

e-book: JENA

ISBN 978-83-68432-72-5

Wydawca

BookEdit

tel. 512 087 075

e-mail: redakcja@bookedit.pl

www.bookedit.pl

facebook.pl/BookEditpl

instagram.com/bookedit.pl

Rozdział 1

W komnacie Elysande pierwsze promienie słońca przebijały się przez grube zasłony, rzucając delikatne pasma na stertę książek rozłożonych na stole. Zmęczone oczy dziewczyny powoli się otwierały, kiedy jej głowa uniosła się znad okładki ciężkiego tomu, który przez większą część nocy służył za poduszkę.

„Czy to już rano?” – pomyślała, rozglądając się wokół i czując w karku lekki ból od niewygodnej pozycji.

Na otwartej stronie, pod jej ramieniem, widniały równo zapisane linijki tekstu o właściwościach rzadkich ziół, których nawet nazwy brzmiały egzotycznie. Na marginesach dziewczyna robiła własne notatki – drobne komentarze, pytania, czasem szkice liści czy kwiatów. Potrafiła nad tym spędzać długie godziny. Była zmęczona, ale usatysfakcjonowana. Uwielbiała te chwile, gdy zagłębiała się w lekturze, zatracając w świecie mikstur, leczniczych wywarów i teorii, które były dalekie od codziennego życia wysoko urodzonej.

O poranku jedynym dźwiękiem był delikatny szum wiatru za oknem, a ruchem – drgające delikatnie płomyki świec, które niemal całkowicie wypaliły się w nocy. Na półce w kącie pokoju stał wazon z suchymi ziołami – prezent od ogrodnika, który zawsze po cichu jej pomagał. Ich aromat wypełniał powietrze, jakby przypominając o poranku i obowiązkach.

Pukanie do drzwi przerwało tę ciszę.

– Panno Elysande, czas wstać. – Usłyszała nieśmiały głos służącej. – Już świta.

Dziewczyna przeciągnęła się leniwie, czując, jak sztywność karku ustępuje stopniowo. Powoli wstała, odrzucając na bok cienki koc, który przykrywał jej ramiona. Pokój był chłodny, a ona, bosy stąpając po kamiennej podłodze, poczuła mało przyjemny kontakt z jej gładką, ale zimną powierzchnią. Przesunęła

dłonią po grzbietach książek na stole, jakby przepaszając je za niedokończoną lekturę.

Po dłuższej chwili, ubrana w prostą nocną szatę, stanęła przed dużym lustrem w swojej komnacie, a dwie służące już czekały, by pomóc jej przygotować się na nowy dzień. Misa z wodą, ustawiona na komodzie, odbijała nagle światło świecy. Elysande zanurzyła w niej dłonie, a ciepło rozeszło się po jej palcach.

– Proszę o ręcznik – rzuciła, odwracając się lekko, a służąca szybko spełniła jej życzenie.

Kobieta podała jej llniany ręcznik, nie odzywając się ani słowem – może z szacunku, a może z obawy przed gniewem młodej pani, choć ta rzadko dawała powód do lęku.

– Panno Elysande, przynieść jeszcze wody? – zapytała służąca.

– Nie trzeba, dziękuję – odpowiedziała dziewczyna, biorąc ręcznik i delikatnie osuszając twarz. Na jej policzku wciąż widniał ledwo zauważalny ślad odcisniętej krawędzi książki, którą czytała przez całą noc. Przy toalecie inna służąca rozczesywała jej gęste, rude włosy.

– Proszę, zwiążcie je luźniej – powiedziała, przełamując ciszę.

Służąca, z wprawą wynikającą z lat doświadczenia, wykonała prośbę, pozostawiając włosy splecione w warkocz, który zsunął się na jedno ramię. Następnie podała suknię – prostą, lecz bogato zdobioną haftem przedstawiającym motywy roślinne. Była wyraźnie zmodyfikowana: fartuch dodany na przodzie, rękawy ściągnięte, aby nie przeszkadzały w pracy w małej pracowni w ogrodzie.

– Czy znów będziecie dziś w pracowni? – odważyła się zapytać służąca, składając pozostałe ubrania na krzesło. – Ogrodnik mówił, że przygotował świeże zioła.

Elysande skinęła głową, lekko się uśmiechając. Ogrodnik, choć szorstki i zamknięty w sobie, zawsze wspierał jej pasję. To dzięki niemu miała własny, niewielki kąt w jego kanciapie, gdzie mogła eksperymentować z wywarami i miksturami. Była mu za to wdzięczna, choć doskonale wiedziała, że ani ojciec, ani ciotka nie pochwalały tych działań. Zwłaszcza ciotka.

– Gdzie jest moja ciotka? – zapytała, wstając od toaletki. Na chwilę zatrzymała się przy oknie, spoglądając na rozległe ogrody posiadłości.

Delikatna poranna mgła unosiła się nad ziemią, a promienie słońca przebiegały się przez korony drzew. Widok ten zawsze przynosił jej ukojenie.

– W głównym salonie, panno Elysande – odpowiedziała służąca z widocznym wahaniem. – Powiedziała, że chce z panią porozmawiać.

Dziewczyna westchnęła cicho, czując nadchodzące napięcie. Wiedziała, co to oznacza – kolejna seria uwag o tym, jak bardzo odbiega od ideału młodej damy.



Promienie słońca wpadające przez wysokie okna salonu rozświetlały ciemne drewno mebli i złote akcenty w ramach portretów przodków Vermontów. Ciotka Adaline siedziała w masywnym fotelu, otoczona aromatem herbaty. Jej sylwetka była wyprostowana, niemal sztywna, a spojrzenie chłodne. Ułożone w nienaganny kok siwiejące włosy spoczywały na ramionach, idealnie dopasowane do surowej sukni.

– Elysande – zaczęła, zanim dziewczyna zdążyła usiąść. – Znów spędziłaś cały dzień w tej norze.

Dziewczyna lekko uniosła brew, ale milczała. Cierpliwie czekała na ciąg dalszy.

Adaline nachyliła się do przodu, kładąc dłoń na stole.

– Nie dziwi mnie, że twój ojciec ma trudności ze znalezieniem ci męża. W sąsiednich włościach krążą pogłoski, że córka Vermontów woli zioła i błoto od salonów, że zamiast haftować czy grać na lutni, leczy gmin. Czy ty myślisz o przyszłości? O swojej roli?

Elysande zacisnęła dłonie na fałdach sukni.

– Ciotko, robię to, czego się ode mnie wymaga. Uczestniczę w spotkaniach, ukończyłam nauki, przestrzegam etykiety. Czy naprawdę nie mogę mieć chwili dla siebie?

Adaline zmrużyła oczy, ważąc słowa.

– Jesteś córką rodu. Dziewczyną, która powinna być już zaręczona. Twój ojciec jest zbyt pobłażliwy w tych sprawach – jestem szczerą. Te mikstury, eksperymenty... może i przynioszą ci satysfakcję, ale to nie przystoi komuś o twoim nazwisku i pozycji.

– Moja matka... – zaczęła Elysande, lecz Adaline uniosła dłoń.

– Wiem. Brakuje ci jej. Nam wszystkim jej brakuje – powiedziała ciszej. – Znałam ją dłużej niż ty. Była dobra, zbyt dobra dla tego świata. Chciała, byście byli szczęśliwi, ty i Callen... Ale nie za każdą cenę. Nie kosztem powagi rodu.

Elysande poczuła, jak drży ze złości i smutku. Obie emocje nakładały się na siebie.

– Zrozumiałam, ciotko – powiedziała chłodno. – Czy mogę już odejść?

Adaline skinęła głową. Elysande wyszła bez słowa.

„Czy rzeczywiście jestem aż tak oderwana od świata?” – zadała sobie pytanie, zmierzając do pracowni. Ale gdzieś głęboko inna myśl szeptała nieustannie: „Mama byłaby ze mnie dumna. Wiem to”.

Za oknem wiał wiatr. Elysande zapagnęła wyjść, poczuć go na skórze. Choć przez chwilę być tylko sobą.



Kamienny chodnik prowadzący do ogrodu był chłodny pod stopami, nawet mimo delikatnych trzewików, które miała na sobie.

Elysande przeszła przez łukowate przejście obrosnięte winoroślą, wchodząc na teren, który był jej osobistym azylem.

Ogrody rezydencji były jednocześnie dzikie i starannie pielęgnowane – żywopłoty formowane w precyzyjne kształty przeplatały się z naturalnymi zarostami, które dziewczyna uwielbiała podziwiać. Przez krótki moment poczuła spokój, który niósł ze sobą zapach ziemi, wilgotnych liści i ziół.

W rogu ogrodu, za rzędami ozdobnych egzotycznych krzewów, znajdowała się jej pracownia – niewielki budynek ukryty przed wzrokiem gości i domowników. To miejsce było dawniej narzędziownią ogrodnika, ale dzięki jego przychylności i odrobinie negocjacji Elysande przekształciła je w swoją oazę. Było to skromne, kamienne pomieszczenie, którego wnętrzu tętniło życiem – nieustanny zapach suszących się ziół, szklane flakoniki wypełnione różnymi odczynnikami, ciężkie księgi i zwoje rozłożone na stole.

Przekraczając próg, Elysande od razu poczuła, jak napięcie opuszcza jej ramiona. W tym miejscu mogła być sobą, daleko od wymagań, osądów

i obowiązków. Odrzuciła na bok fartuch, który miała przewieszony przez ramię, i zaczęła od porządkowania stanowiska pracy. Słoje z suszem były nieco przesunięte, a nożyczki i szpatułki leżały w nieładzie. Jej ręce działały automatycznie, przywracając ład na stole.

Na półce czekały przygotowane wcześniej proste lekarstwa – maści na poparzenia, wyciągi na uspokojenie oraz kilka fiolek z eliksirami, których jeszcze nie odważyła się przetestować. Każde z nich oznaczyła starannie, zapisując składniki i proporcje w notatniku. Przeglądając swoje zapiski, uśmiechnęła się z dumą. Choć efekty jej pracy były skromne, dawały jej poczucie celu.

Usiadła na drewnianym stołku przy stole i przez chwilę wpatrywała się w niewielkie okno pracowni, przez które wpadało światło poranka. W zasięgu jej wzroku znajdował się ogródek, pochylony nad grządką, przycinający lawendę. Był to starszy człowiek o szorstkich, pomarszczonych jak stary pergamin dłoniach i łagodnym spojrzeniu – nigdy nie patrzył na nią z pogardą ani osądem. To on zorganizował dla niej tę pracownię, co sprawiło, że darzyła go szczególną wdzięcznością.

– Panno Elysande – odezwał się, dostrzegając jej spojrzenie przez okno. – Dziś zebrałem trochę świeżego nureńca. Myślałem, że może się pani przydać.

– Zawsze się przydaje – odparła z uśmiechem, wychodząc na zewnątrz, by odebrać od niego mały koszyk z ziołami. – Dziękuję.

Mężczyzna skinął głową, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie zamilkł i wrócił do swojej pracy. Elysande wzięła koszyk do środka i zaczęła starannie układać zioła na drewnianej suszarce. Ich świeży zapach wypełnił pomieszczenie, mieszając się z wonią rumianku i melisy.



Ścieżka prowadząca na tyły ogrodu zarastała już miękką trawą i wysokim zieleń. Większość służby unikała tego zakątka – był zbyt oddalony, zbyt dziki. Ale Ina знаła każdą ścieżkę, każdy kamień.

– No chodź, Elys! – powiedziała, obracając się przez ramię. – Jeszcze kawałek. Obiecuję, że warto.

Elysande szła za nią nieco powolniej, podciągając spódnicę, żeby nie zaczepiać o łopiany.

– Jeśli znowu prowadzisz mnie do gniazda os, to przysięgam, zostawię cię tam samą.

– Nie tym razem – roześmiała się Ina. – Dziś będzie bardziej... romantycznie.

Gdy dotarły do małej polany otoczonej dzikimi malinami i pergolą z winorośli, Ina zatrzymała się dumnie i wskazała grządkę przy kamiennym murze.

– Tadaa! Moje małe eliksiry miłosne – oznajmiła z triumfem. – Prawdziwa mieszkanka cudów. Lubczyk, ślaz piżmowy, odrobina korzenia yrenn... no i ta niepozorna, ale najważniejsza – *serantha*.

Elysande uniosła brwi i przyłożyła dłoń do ust, by ukryć uśmiech.

– Serantha? Wiesz, że to roślina objęta zakazem uprawy?

– Nie używam jej jak trucizny! – obruszyła się Ina, ale bez gniewu. – Chcę tylko... trochę pomóc losowi.

Elysande przykucnęła obok, dotykając delikatnych listków.

– Komu chcesz pomagać?

Ina usiadła na kamieniu, splatając dłonie na kolanach.

– Synowi kowala. Darenowi. Widziałam, jak podnosił całe koło wozu, żeby ojciec mógł naprawić szprychy. Ramiona jak młody bóg. A przy tym taki nieśmiały. Tylko patrzy i się czerwieni.

Elysande zaśmiała się cicho, nieco zaskoczona tą bezpośredniością.

– I planujesz dać mu wywar z seranthy na festynie?

– Jeśli nie ruszy pierwszy – tak. Tylko troszeczkę, w miodzie. Tyle, żeby dodać mu odwagi. Albo... otworzyć mu oczy.

Przez chwilę milczały razem, wsłuchując się w szum liści. Elysande spojrzała na Inę z ukosa. Jej radość była zaraźliwa, jej życie – prostsze, ale prawdziwe.

– Może to szaleństwo – powiedziała łagodnie – ale zazdroszczę ci odwagi.

Ina spojrzała na nią, unosząc brwi.

– A ja tobie rozumu. Ale wiesz co, Elys? Za dużo myślisz. Czasem warto po prostu... kochać. Choćby trochę. Choćby na jeden wieczór.

Elysande uśmiechnęła się smutno, nie odpowiadając. W jej świecie wszystko miało cenę – nawet krótkie zauroczenie.

Ale wtedy, wśród ziół i śmiechu Iny, świat wydawał się odrobinę mniej ciężki.

Zasiedziała się dłużej, niż planowała. Słońce wzniosło się wyżej na niebie. W tym momencie Elysande usiadła przy stole, oparła głowę na dłoniach i pozwoliła sobie na chwilę zadumy. Myśli zaczęły błądzić – zastanawiała się, czy jej praca ma sens. Czy wywary, które przygotowuje, naprawdę mogą kiedyś komuś pomóc? Czy powinna poświęcać tyle czasu na coś, co świat wysoko urodzonych uważa za niegodne dla ich statusu?

Często myślała o matce, która zmarła siedem lat temu. To jej śmierć obudziła w Elysande fascynację lecnictwem – pragnienie, by nigdy więcej bezradnie nie patrzeć na cierpienie innych. A jednak czasami czuła, że jej wysiłki są daremne. Ojciec i ciotka rzadko doceniali jej pracę, uważając ją za kaprys młodej dziewczyny.

– Ale przecież coś musi mieć znaczenie – wyszeptała do siebie, wpatrując się w dłonie. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na swoje notatki. Były tam schematy, receptury i uwagi. Każda linia na pergaminie była świadectwem jej starań. Jeśli to nie miało znaczenia, to co w ogóle je miało?

Z zadumy wyrwał ją delikatny szelest za oknem. Kiedy spojrzała, zobaczyła jedynie cień przemykający wzdłuż muru posiadłości. Przez chwilę serce zabiło jej szybciej, ale uspokoiła się, myśląc, że to pewnie jeden z dzikich kotów.

Zdecydowała się wrócić do domu, choć z niechęcią opuszczała pracownię. Zamknęła za sobą drzwi na skobel, chowając klucz do prostej kłódki w fałdach sukni, i ruszyła do rezydencji. Czuła, że dzień dopiero się zaczyna, a w powietrzu wciąż unosił się spokój, który mogła znaleźć tylko tutaj, wśród ziół i zapachu ziemi. W głębi serca wiedziała, że nie potrwa to długo.

W głównym budynku rezydencji poczuła na sobie ciężar spojrzeń służby, która zawsze wiedziała więcej, niż by się wydawało. W milczeniu przeszła przez wyłożony marmurem korytarz, gdzie cienie długich zasłon tańczyły w świetle. Dotarła do drzwi gabinetu ojca, które były lekko uchylone. Zatrzymała się na chwilę, by zebrać myśli, zanim zapukała.

– Wejdz. – Usłyszała głęboki głos Edrica Velmonta, a ton jego głosu wskazywał na zmęczenie.

Gabinet jej ojca był wypełniony zapachem skórzanych tomów i świeżo przelanego atramentu. Ciężkie regały z książkami dominowały w pomieszczeniu, a przy masywnym biurku siedział sam Edric, przeglądając dokumenty. Jego postura, choć nieco przygarbiona, wciąż emanowała autorytetem. Spojrzał na córkę znad papierów, a jego spojrzenie było trudne do odczytania – mieszanina surowości i czegoś, co mogło być troską.

– Elysande – zaczął, odkładając pióro na bok. – Znowu muszę rozmawiać z tobą o Adaline.

Na dźwięk imienia ciotki Elysande poczuła, jak napięcie opanowuje jej ciało. Zajęła miejsce na krześle naprzeciwko biurka, starając się zachować spokój.

– O czym dokładnie, ojczu? – zapytała, choć dobrze знаła odpowiedź.

Edric westchnął, opierając się na biurku.

– Adaline twierdzi, że twoje upodobania i zachowanie zaczynają być niepokojące. Uważa, że zbyt dużo czasu spędzasz w ogrodzie, w tej swojej pracowni, zajmując się rzeczami, które nie przystoją kobiecie z naszego rodu. Twierdzi, że oddajesz się dziwactwom, które zaczynają być tematem plotek.

Elysande zacisnęła dłonie na fałdach sukni, aby ukryć narastającą frustrację.

– Plotki? – powtórzyła z chłodnym spokojem. – Czy ciotka obawia się, że zniszczę reputację naszej rodziny, ponieważ zajmuję się czymś pożytecznym?

Ojciec zmarszczył brwi, wyraźnie nie spodziewał się tak bezpośredniego tonu.

– Elysande, to nie jest kwestia pożyteczności. Rozumiem, że masz swoje zainteresowania, ale musisz zrozumieć, że jako córka rodu Velmontów masz obowiązki, których nie możesz ignorować. Twój czas powoli dobiega końca. Masz już siedemnaście lat, a wciąż nie jesteś zaręczona. Obiecałem twojej matce, że pozwolę ci samodzielnie dokonać wyboru odnośnie zamążpójścia, że nie będę cię zmuszał do niczego. Ale Adaline ma rację, powinnaś bardziej skupić się na swojej przyszłości.

– Moja przyszłość... – zaczęła Elysande, ale urwała, czując, że każde słowo, które wypowie, może zostać źle odebrane. – Czy ty, ojczu, uważasz, że moje zainteresowania są przeszkodą?

– Uważam, że twoje zainteresowania są nieszkodliwe, o ile nie przeszkadzają ci w spełnianiu obowiązków – odparł Edric, tonem bardziej stanowczym.
– Ale musisz zrozumieć, że nie możesz wiecznie unikać swojej roli. Jesteś córką wielkiego rodu, a to oznacza, że są pewne oczekiwania wobec ciebie. Nie tylko ja je mam – cały kraj je ma.

Elysande poczuła, jak wzbiera w niej bunt, ale wiedziała, że otwarte sprzeciwianie się ojcu byłoby bezcelowe. Jego surowość była czymś, co знаła od lat – czymś, co wydawało się rosnąć od śmierci jej matki. Zamiast tego postanowiła zadać pytanie, które nurtowało ją od dłuższego czasu.

– Ojczy... czy sądzisz, że byłabym lepsza, gdybym była bardziej... jak Callen? – Jej głos był cichy, ale w jej oczach pojawił się cień smutku.

Edric spojrzał na nią, a jego twarz zmiękła na krótką chwilę.

– Nie porównuj się do brata – powiedział po chwili. – On ma swoje powinności, a ty swoje. Ale pamiętaj, że w tym domu wszyscy jesteśmy częścią większej całości. Czasem to, czego chcemy, musi zejść na dalszy plan.

Elysande skinęła głową, choć te słowa pozostawiły w niej gorzcy.

– Rozumiem, ojczy – powiedziała, wstając z krzesła. – Czy to wszystko?

– Na razie tak – odparł Edric, wracając do dokumentów. – Ale zastanów się nad tym, co powiedziałem. I, na litość bogów, spróbuj unikać kolejnych skarg ze strony Adaline.

Elysande opuściła gabinet, starając się ukryć drżenie dłoni. Słowa ojca odbijały się echem w jej myślach, a każda z nich wydawała się przypominać, jak mało miejsca jest w tym świecie na marzenia, które nie pasują do dostojnego życia.

Za drzwiami czekał na nią Callen. Siedział na zdobionym parapecie wąskiego okna, oświetlony miękkim blaskiem późnego popołudnia. Jego jasne włosy zdawały się lśnić w promieniach słońca, a w oczach kryło się coś, co zawsze przynosiło Elysande ulgę – szczerą radość na jej widok.

– Już skończyliście rozmowę? – zapytał z uśmiechem, zeskakując z parapetu i zbliżając się do niej.

Elysande skinęła głową, choć jej mimika zdradzała, że rozmowa z ojcem nie była łatwa.

Callen przechylił głowę, studiując jej twarz z braterską troską.

– Znowu Adaline? – zapytał, a jego ton był pełen lekkiego sarkazmu, jakby wiedział, że odpowiedź jest oczywista. – Naprawdę nie rozumiem, skąd ciotka ma w sobie tyle energii, żeby zajmować się każdym twoim krokiem.

Elysande uśmiechnęła się lekko.

– Może dlatego, że nie ma już swoich dzieci na głowie – odparła. – Poświęca się wychowaniu nas, a ja jestem dla niej jedynym „wyzwaniem”.

Callen wybuchnął śmiechem, a jego beztroska była jak powiew świeżego powietrza w dusznym domu pełnym obowiązków i oczekiwań.

– Myślę, że jej wyzwaniem jest przekonanie ojca, żeby cię jak najszybciej wydał za mąż – powiedział, patrząc na nią z rozbawieniem. – Ale nie martw się, Elysande. W porównaniu z tymi kobietami, które próbują mi przedstawiać, jesteś o niebo ciekawsza.

Elysande uniosła brew, udając sceptycyzm.

– Naprawdę? – zapytała. – A co takiego mają w sobie te damy?

Callen westchnął teatralnie, jakby jego obowiązki jako młodego szlachcica były nie do zniesienia.

– Etykietę – odpowiedział z udawanym dramatyzmem. – Każde zdanie, które wypowiadają, brzmi, jakby było wyjęte z podręcznika. Żadnych własnych myśli, żadnych pasji. Wszystko, co robią, to powtarzanie tego, co im wpojono. A ty... – zawahał się na chwilę, zanim spojrzał na nią z powagą. – Ty jesteś inna.

Elysande poczuła, jak jej serce się ściska. Wiedziała, że Callen zawsze był jej największym sojusznikiem, kimś, kto widział w niej więcej niż tylko obowiązki i ograniczenia, które narzucała jej rodzina.

– Inna – powtórzyła cicho. – To właśnie jest problemem, Callen.

Callen pokręcił głową.

– Nie, to jest twoją siłą – powiedział z przekonaniem. – Ludzie może tego nie rozumieją, ale ja tak. Jesteś odważna, mądra i masz w sobie coś, czego brakuje większości tych, których znam. Masz własny świat, własne marzenia. I to jest coś, czego nigdy nie powinnaś się wstydić.

Elysande spojrzała na niego, czując, jak ciepło wypełnia jej serce. Słowa brata były jak balsam na rany, które pozwoili jej pozostawić rozmowy z ojcem i ciotką.

– Dzięki, Callen – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Czasami naprawdę mam wrażenie, że jesteś jedyną osobą, która mnie rozumie.

– Może tak jest – odparł Callen z figlarną miną. – Ale to wystarczy, prawda?

Elysande zaśmiała się cicho, po raz pierwszy tego dnia poczuła, że napięcie, które jej ciążyło, nieco zelżało. Brat był jak promień słońca w pochmurny dzień, przypomnieniem, że nawet wśród obowiązków i oczekiwań, jakie narzucała jej rodzina, wciąż miała kogoś, kto wierzył w jej wartość.

Po rozmowie z bratem Elysande poczuła się przytłoczona emocjami. Przeszła przez cichy korytarz, gdzie tylko echo jej kroków rozbrzmiewało w kamiennych ścianach. Na chwilę zatrzymała się przed drzwiami swojej komnaty, biorąc głęboki oddech, jakby przygotowywała się do przekroczenia progu, który oddzielał jej zewnętrzną maskę od prawdziwego „ja”.

Wewnątrz pokój był prosty, choć wciąż emanował subtelnym bogactwem charakterystycznym dla znamienitego rodu. Drewniane meble zdobione delikatnymi rzeźbieniami i okno wychodzące na ogród dawały poczucie spokoju, którego tak bardzo potrzebowała. Zrzuciła suknię, która przez cały dzień uwierała ją jak zbroja, i włożyła zwykłą koszulę nocną. Usiadła na łóżku, opierając plecy o chłodną ścianę.

Noc za oknem była wyjątkowo ciepła. Księżyc oświeślał ogród. Elysande patrzyła na ten widok, ale jej myśli dryfowały daleko od spokojnego krajobrazu. Przez chwilę wsłuchiwała się w dźwięki nocy – odgłosy świerszczy i lekkiego szumu wiatru – ale one, zamiast przynosić ukojenie, wzmacniały jej wewnętrzny niepokój.

Wstała z łóżka i podeszła do niewielkiej szafy w kącie pokoju. Ostrożnie ją otworzyła, jakby bała się, że ktoś usłyszy skrzypienie zawiasów. W końcu jej ręka sięgnęła głęboko pod stos starannie złożonych sukien i chwyciła niewielką drewnianą skrzynkę – starą, zniszczoną, ale wciąż piękną w swojej prostocie.

Ustawiła ją na biurku, a palcami delikatnie przesunęła po wieczku, które zdawało się skrywać coś więcej niż tylko przedmioty. Zawahała się, zanim otworzyła skrzynkę, jakby jej zawartość miała w sobie moc wywoływania duchów przeszłości. W środku leżała księga – gruba, ciężka, z pożółkłymi stronami i skórzaną okładką.

To dzieło należało do jej nauczyciela, mistrza, mężczyzny, który przez lata odwiedzał ich posiadłość z różnych okazji. Był człowiekiem pełnym wiedzy i pasji, kimś, kto potrafił zobaczyć potencjał tam, gdzie inni widzieli jedynie dziwactwo. To on po raz pierwszy zauważył jej ciekawość i chęć nauki. Przynosił jej książki, opowiadał o właściwościach roślin i prostych metodach leczenia. Z czasem ich rozmowy stawały się coraz bardziej zaawansowane, aż w końcu, podczas jednej z ostatnich wizyt, podarował jej tę właśnie księgę.

„To nie jest coś, co powinnaś otwierać lekkomyślnie,” powiedział wtedy, jego głos pełen był zarówno powagi, jak i troski. „Ta wiedza jest stara, i... niebezpieczna. Ale widzę w tobie coś, czego inni nie dostrzegają. Pamiętaj jednak, Elysande – ta księga może być darem, ale także przekleństwem”.

Teraz, patrząc na księgę, dziewczyna czuła ciężar tych słów. Jeszcze nigdy jej nie otworzyła, choć wielokrotnie o tym myślała. Coś w niej bało się konsekwencji – nie tylko tego, co mogłaby odkryć, ale także tego, co mogłoby się stać, gdyby ktoś dowiedział się o istnieniu tego dzieła. Trybunał nie przebaczał takich wykroczeń. Posiadanie takiej księgi bez jego zgody było równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku.

„Czy naprawdę warto?” – pomyślała, przyglądając się zakurzonej okładce.

Oparła głowę na dłoniach, a jej myśli wirowały wokół wszystkiego, co wydarzyło się tego dnia. Słowa ojca, krytyka ciotki, wsparcie Callena – wszystko łączyło się w wielki chaos. Czy jej miejsce rzeczywiście było tutaj, wśród obowiązków i oczekiwań, które wydawały się jej obce? A może powinna podążać własną ścieżką, niezależnie od tego, dokąd by ją zaprowadziła?

„Czy kiedykolwiek będę mogła użyć tej wiedzy?” – zadała sobie pytanie, patrząc na księgę. Wzięła głęboki oddech i zamknęła skrzynkę, ukrywając ją z powrotem w szafie. Nie była jeszcze gotowa, by stawić czoła temu, co mogła odkryć. Ale gdzieś głęboko w niej tliła się iskra ciekawości, której nie mogła zignorować.

Usiadła przy oknie, patrząc na ogród, który w srebrnym świetle księżyca wydawał się niemal nierzeczywisty.

Elysande przeciągnęła dłonią po twarzy, czując zmęczenie całego dnia. Nie była jeszcze gotowa, by zasnąć. Ciepła noc wprawiała ją w rozkojarzenie, jakby powietrze było zbyt ciężkie do oddychania. Spojrzała w kierunku lustra,

które stało w kącie pokoju – niewielkie, ale wystarczające, by mogła dostrzec swoje odbicie. Z ociąganiem podeszła bliżej, jakby obawiała się tego, co zobaczy.

Przyglądała się sobie, przechylając lekko głowę na bok. Jej cera była bardzo jasna, niemal przezroczysta, kontrastowała z ciemniejszymi piegami, które ledwo widocznie zdobiły nos i policzki. W dzieciństwie irytowały ją te małe plamki, ale teraz patrzyła na nie z obojętnością – były częścią niej, tak samo jak wszystko inne.

Szczupła, zgrabna figura, którą wiele kobiet uznałoby za ideał, dla niej była źródłem mieszanych uczuć. Z jednej strony była świadoma swojego wdzięku, subtelnej elegancji, która tkwiła w jej ruchach i postawie. Z drugiej wiedziała, że jej delikatna sylwetka, małe piersi i skromne kształty nie odpowiadały gustom większości młodych lordów w królestwie, którzy częściej patrzyli na bardziej wyraziste przymioty ciała. Często zastanawiała się, czy wystarczy to, by utrzymać męża przy swoim boku.

Podniosła rękę i dotknęła włosów – miedzianych, lśniących w świetle księżyca. Były jednym z jej największych atutów, opadające w miękkich falach na plecy i ramiona. Czasem myślała, że to właśnie one przyciągają uwagę bardziej niż wszystko inne. Ale to oczy – wielkie, głęboko zielone, z tym dziwnym, niemal hipnotyzującym blaskiem – tworzyły jej urok. Callen kiedyś żartował, że w jej oczach kryje się cała magia, której tak unika jej ojciec. Ale Elysande widziała w nich coś więcej – niepokój, pragnienie zrozumienia, a czasem samotność.

– Czy to wystarczy? – szepnęła, przyglądając się sobie. Czy jej aparycja, połączona z tym, kim była w środku, mogłaby kiedykolwiek zrównoważyć jej niecodzienne zainteresowania? Wszakże damie nie przystoi siedzieć całymi dniami w pracowni, brudząc dłonie ziołami i pyłami, jakiegokolwiek nie miałyby wartości. Czasem wyobrażała sobie, jak wyglądałaby jej przyszłość – młody albo stary lord, którego wybrałby ojciec, z początku zafascynowany jej urodą, ale z czasem zmęczony jej osobowością, tak różną od tego, czego oczekiwał.

Nie była próżna, ale nie mogła ignorować faktu, że jej wygląd był częścią jej roli w tym świecie. Skromność była jej naturalną cechą – nigdy nie uważała

się za wybitnie piękną, choć czasami widziała spojrzenia innych, które mówiły coś innego. A jednak, stojąc przed lustrem, czuła, jak w jej wnętrzu rodzi się pytanie, które zadaje sobie każda młoda kobieta: czy to, kim jest – zewnątrz i wewnątrz – kiedykolwiek wystarczy, by znaleźć swoje miejsce w świecie, który zdaje się być stworzony dla innych?

Elysande odwróciła wzrok od lustra, jakby zmęczona własnym odbiciem. Wróciła do łóżka, siadając na krawędzi, podciągnęła kolana pod brodę. Jej myśli wciąż błądziły wokół tego, kim była i co przyniesie przyszłość. Zdawała sobie sprawę, że nie może uciec przed oczekiwaniami, ale czy mogłaby kiedykolwiek być szczęśliwa, rezygnując z tego, co ją definiowało?



Poranek w posiadłości Velmontów był wyjątkowo nerwowy. Od wczesnych godzin słychać było stukot kroków służby, która uwijała się jak w ukropie, przygotowując wszystko na przyjęcie. Elysande obudził szmer rozmów dochodzący zza okna – ogrodnik wydawał polecenia, aby wyciąć chore gałęzie i wyrównać krzewy, a kucharki w kuchni kłóciły się o proporcje przypraw w najważniejszych potrawach.

Dziewczyna wstała z łóżka i zaczęła się szykować się. Tym razem jej codzienna rutyna była przerywana nieustannym stukaniem do drzwi. Służąca przyniosła jej suknię, specjalnie wybraną przez ciotkę – piękną, ozdobioną misternymi haftami, ale zdecydowanie niepraktyczną. Jej ramiona miały być odsłonięte, a gorset mocno podkreślał talię i biodra. Elysande poczuła, jak na jej twarz wkrada się grymas niezadowolenia, ale nie powiedziała ani słowa. Wiedziała, że dzisiaj nie ma miejsca na protesty.

Przyjęcie, jak zrozumiała z rozmów z ojcem, miało być okazją do pokazania siły i pozycji rodu Velmontów. Goście, w tym sąsiedzi, okoliczni lordowie oraz kilku oficjeli z Trybunału, mieli przybyć na południe. Powód spotkania był oficjalnie dyplomatyczny – omówienie bieżących problemów granicznych z królestwem Thale oraz nowych podatków. Ale Elysande wiedziała, że przyjęcia takie jak to były przede wszystkim grą o wpływy, prezentacją statusu i okazją do zacieśniania sojuszy.

Gdy była już gotowa, wyszła na korytarz, gdzie służba z trudem radziła sobie z noszeniem ciężkich tac, dekoracji i innych przedmiotów potrzebnych na uroczystość. Przechodząc przez długi, wyłożony czerwonym dywanem korytarz, Elysande poczuła, jak ciężar dnia zaczyna ją przytłaczać. Dla niej to przyjęcie było kolejnym sprawdzianem – musiała odegrać rolę, której nie czuła. Mimo że dobrze знаła zasady etykiety i potrafiła odnaleźć się w towarzystwie, nigdy nie czuła się tam sobą.

Po południu posiadłość była już w pełni gotowa. Wielka sala balowa lśniła czystością, a ściany zdobiły świeże kwiaty i rodzinne herby. Stoły ugiwały się pod ciężarem wyszukanych potraw – pieczonych mięs, owoców i deserów, które wyglądały jak małe dzieła sztuki. Goście zaczęli przybywać, a dźwięk kopyt końskich i stukot powozów rozbrzmiewał na dziedzińcu.

Elysande, zgodnie z tradycją, wraz z bratem stanęła u boku ojca i powitała kilka pierwszych osób. Edric Vermont, mimo swoich lat, wciąż prezentował się imponująco. Jego wysoka, postawna sylwetka i sztywny wyraz twarzy wywoływały respekt. Ciotka Adaline, stojąca z boku, bacznie obserwowała każdego gościa, oceniając stroje, maniery i powitania. Elysande zauważyła, że ciotka zerknęła na nią co jakiś czas z subtelnym niezadowoleniem, ale nic nie mówiła – na razie.

Podczas przyjęcia dziewczyna musiała uczestniczyć w pogawędkach z gośćmi, ale to rozmowa z oficjelami Trybunału okazała się najtrudniejsza. Byli to insygnaci, którzy pełnili rolę przywódców duchowych i militarnych w strukturach Trybunału. Dwóch starszych mężczyzn, ubranych w charakterystyczne szaty w głębokim odcieniu granatu ze złotymi, geometrycznymi zdobieniami, zbliżyło się do niej, gdy stała na skraju sali, próbując uniknąć zgiełku. Ich połączane maski zawsze wywoływały w niej niepokój.

– Panna Vermont – odezwał się jeden szorstkim, ale kulturalnym tonem, robiąc delikatny ukłon. – Słyszeliśmy o pani zainteresowaniach, dość niecodziennych, rzekłbym.

Elysande zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

– Panie, uważam, że wiedza o ziołach i ich zastosowaniu może być niezwykle pomocna.

Drugi mężczyzna lekko skinął głową.

– Chwalebne zainteresowanie. Pomoc potrzebującym leży w przykazaniach Trybunału. Jednakże... – Zatrzymał się, przyglądając się jej uważnie.
– Ziellarstwo to zajęcie dla wiejskich dziewczek i znachorów, nie dla damy o pani statusie. Natomiast alchemia jest niezmiernie użyteczna, ale jej granice bywają niebezpieczne.

Elysande poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy, ale starała się zachować spokój.

– Jestem świadoma tych granic i nigdy nie zamierzam ich przekraczać.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się delikatnie, ale w jego oczach pojawiło się coś, co przypominało ostrzeżenie.

– W takim razie niech pani pamięta, że prawdziwe kształcenie w tych dziedzinach wymaga odpowiednich uprawnień. Królewska Akademia Medyczna jest właściwym miejscem dla takich ambicji. Wszystko inne... cóż, Trybunał zawsze czuwa.

Słowa te, wypowiedziane z pozoru spokojnie, niosły za sobą ciężar, którego nie można było zlekceważyć. Trybunał – instytucja o niepodważalnej władzy i autorytecie w Vardane – budził zarówno podziw, jak i lęk. Nie zawsze taki był. Z lekcji historii Elysande pamiętała, że jego początki sięgały czasów osadnictwa po upadku Starego Imperium. Wówczas był luźną zbieraniną historyków, badaczy i kronikarzy, próbujących zrozumieć to, co po Imperium pozostało. Lata mijały – i ze strachu, że wiedza z przeszłości znów sprowadzi zagładę, powstała struktura: chłodna, logiczna, nieugięta. Jej działania mogły wydawać się fanatyczne, jednak w rzeczywistości były precyzyjnie zaplanowane. Każdy ruch, każde dochodzenie, każde słowo były skrupulatnie prze-myślane. Była to chłodna, wyrachowana machina, która analizowała każdą sylabę i każdy gest rozmówców. Kiedy Trybunał patrzył, nikt nie mógł czuć się swobodnie.

Choć wielu uważało przedstawicieli Trybunału za strażników sprawiedliwości i obrońców przed niszczycielskim działaniem dzikiej magii, prawda była bardziej złożona. Dla nich prawda była narzędziem, a nie celem samym w sobie. Każda ich decyzja była ostateczna, ponieważ nie pozwalano sobie na wątpliwości – lub przynajmniej tak to wyglądało. Byli sędziami, którzy nie dawali drugiej szansy, i egzekutorami, którzy nie cofali się przed niczym.

Elysande skinęła głową, nie ufając swojemu głosowi. Rozmowa zakończyła się szybko, ale te słowa wciąż rozbrzmiewały w jej głowie. „Trybunał zawsze czuwa”. Kiedy oficjele Trybunału odeszli, Elysande pozostała na swoim miejscu, wpatrując się w wirujące w powietrzu drobiny kurzu, oświetlane przez światło świec. Ich słowa ciążyły jej na sercu bardziej, niż chciałaby przyznać.

„Akademia Medyczna” – nazwa ta odbijała się echem w jej umyśle. To miejsce, które od lat jawiło się jej jako niedoścignione marzenie, gdzie prawdziwi mistrzowie nauki dzielili się swoją wiedzą, a uczniowie uczyli się nie tylko sztuki leczenia, ale i filozofii, anatomii, alchemii – wszystkiego, co mogło pomóc w zrozumieniu świata.

Pomyślała, jak często zastanawiała się nad tym, jakby to było przejść przez bramy Akademii jako jedna z uczennic. Widzieć na własne oczy księgi, które kryły wiedzę niedostępną dla większości, a której strzępy odnajdywała w porzuconych manuskryptach i mądrościach przekazywanych ustnie przez zielarki. Jednak każda z tych fantazji kończyła się w ten sam sposób – gorzkim przypomnieniem rzeczywistości.

Była kobietą. I choć ród Velmontów cieszył się poważaniem, a ona sama miała przywileje, o jakich inne niewiasty mogły tylko marzyć, nie zmieniało to faktu, że w Vardane od wieków przestrzegano tradycji, które wykluczały kobiety z ról uznawanych za „wyższe” w społeczeństwie. Akademia Medyczna była miejscem, do którego przyjmowano wyłącznie mężczyzn – synów bogatych kupców, młodych szlachciców czy utalentowanych plebejuszy, którym udało się zdobyć mecenat. Kobiety mogły jedynie patrzeć na jej mury z oddali.

Elysande uniosła wzrok i spojrzała na kielich wina, który trzymała w dłoni, ale nie miała ochoty pić. Nie była zazdrosna – była wściekła. Świadomość, że nawet gdyby pokonała każdą przeszkodę i udowodniła, że zdolnościami przewyższa większość mężczyzn, to i tak nie miałyby prawa wejść do sal wykładowych Akademii, była trudna do zniesienia.

Poczuła rezygnację, która na chwilę załaziła jej serce. „Co z tego? Nawet jeśli byłoby to możliwe, to nie zostanę nigdy uznana za prawdziwego medyka”. W Vardane kobietom przypisywano role matek, opiekunek domów oraz strażniczek tradycji. Nawet damy jej statusu nie miały prawa podejmować

samodzielnych decyzji – ich los zwykle spoczywał w rękach ojców lub mężów. „Jak bardzo różni się to od roli ozdoby, pięknego przedmiotu do podziwiania?”

Mimo to nie mogła powstrzymać nadziei, która się w niej tliła. Może kiedyś coś się zmieni. Może kiedyś znajdzie sposób, by przełamać te bariery, by udowodnić, że jest godna. Nie chciała być uznawana za dziwaczkę czy ekscentryczną córkę rodu Vermontów. Chciała, by ludzie widzieli w niej coś więcej – kogoś, kto może wnieść prawdziwy wkład w ten świat.

„Akademia Medyczna...” – powtórzyła w myślach, zaciskając delikatnie dłoń na kielichu. W głowie pojawiały się kolejne pytania. Czy gdyby była mężczyzną, wszystko wyglądałoby inaczej? Czy gdyby los dał jej inną rolę, mogłaby podążać tą ścieżką bez strachu przed oceną, bez konieczności walki z tradycjami?

Spojrzała na salę pełną gości. Oficjele Trybunału stali w grupie i śmiali się cicho z czegoś, co dla niej pozostawało tajemnicą. Jej ojciec rozmawiał z lordem z sąsiedztwa, a ciotka Adaline komentowała coś z uśmiechem pełnym fałszywego ciepła. W tej chwili poczuła się bardziej obca niż kiedykolwiek. Ale nie pozwoliła, by to uczucie ją przygniotło. Wzięła głęboki oddech i delikatnie się uśmiechnęła.

„Niech myślą, co chcą. Może nie mam wstępu do Akademii, ale nikt nie odbierze mi tego, co już wiem”.

Przyjęcie ciągnęło się w nieskończoność, a napięcie wisiało w powietrzu – Elysande nie potrafiła w pełni go nazwać, ale czuła, jak rośnie.

Kielichy wina napełniano bezustannie, a delikatne dźwięki lutni dodawały pozornej harmonii. Elysande czuła się coraz bardziej przytłoczona i coraz trudniej było jej to ignorować. Chłód w słowach przedstawicieli Trybunału, uporczywe spojrzenia ciotki, które wyrażały więcej, niż mogłyby powiedzieć słowa, i wspomnienie rozmowy z ojcem sprawiały, że każda minuta stawała się ciężarem. Elysande, nie mogąc znieść tego wszystkiego, pozwoliła sobie na kolejne napełnienie kielicha. A potem jeszcze jedno.

Kiedy w końcu przyłączyła się do rozmowy, jej umysł był lekko zamglony, a usta nieco odważniejsze, niż nakazywał rozsądek. Stała naprzeciwko córki jednego z lordów sąsiednich ziem – lady Ismel, młodej dziewczyny w wieku zbliżonym do Elysande. Ismel miała na sobie oszałamiającą suknię

w kolorze głębokiego błękitu, a jej włosy, idealnie ułożone, lśniły w świetle świec. Była uosobieniem tego, co Vardane uważało za ideał damy – posłuszna, piękna, z wyćwiczonym uśmiechem, który nie zdradzał ani odrobiny niepokoju.

Rozmowa początkowo toczyła się wokół spraw błahych – o wystroju sali, pogodzie i ostatnich balach, w których uczestniczyła lady Ismel. Ale gdy dziewczyna zaczęła opowiadać o swoim oddaniu tradycji i konieczności przestrzegania szlacheckich zasad, coś w Elysande pękło.

– Oddanie tradycji? – powtórzyła z cieniem irytacji w głosie, unosząc brew. – Czy to oznacza rezygnację z własnych marzeń? Czy może udawanie, że niczego więcej nie potrzeba poza spełnianiem czyichś oczekiwań?

Ismel spojrzała na nią z lekkim zdziwieniem, a potem zaśmiała się cicho, jakby Elysande właśnie opowiedziała wyjątkowo zabawny żart.

– Marzenia, droga Elysande, są dla poetów i filozofów. My jesteśmy córkami wielkich rodów. Naszym marzeniem powinno być wypełnianie ról, jakie zostały nam powierzone. Nic ponadto.

– To absurd – odparła Elysande, unosząc kielich, ale zamiast napić się wina, odłożyła go z lekkim trzaskiem na stół. – Tradycja... Tradycja wymaga od nas, byśmy były ozdobami salonów i matkami dziedziców. A co, jeśli niektóre z nas pragną czegoś więcej? Co, jeśli tradycja powinna zostać zakwestionowana?

Ismel ponownie się zaśmiała, tym razem nieco bardziej sztywno, jakby próbowała zatuszować własną niewygodę.

– Elysande, nie sądziłam, że masz w sobie taki ogień. Ale mówienie takich rzeczy na przyjęciu? Nie sądzisz, że to trochę nieodpowiednie?

Elysande poczuła, jak jej policzki płoną, częściowo z irytacji, a częściowo przez wino. Ismel wydawała się zupełnie nie dostrzegać powagi tematu. Była zbyt pewna swojej pozycji, zbyt wygodna w świecie, który od zawsze ją faworyzował. Zanim jednak Elysande zdążyła odpowiedzieć, poczuła czyjąś rękę na ramieniu.

To był Callen. Wyglądał, jakby widział wystarczająco dużo, by zdać sobie sprawę, że sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Jego spojrzenie było łagodne, ale także zdecydowane.

– Elysande – powiedział cicho, pochylając się w jej stronę. – Może lepiej, jeśli przejdiesz się trochę na świeżym powietrzu.

Dziewczyna odwróciła się do brata, na chwilę zapominając o swojej irytacji. Był jak latarnia w mroku jej emocji, jedyna osoba, która nie patrzyła na nią przez pryzmat oczekiwań czy obowiązków. Po chwili wahania skinęła głową, pozwalając mu poprowadzić się w stronę drzwi na taras.

Na powietrzu Callen westchnął cicho, przerywając napiętą ciszę.

– Nie powinienem cię upominać, siostrzyczko, ale wiesz, że nie możesz mówić takich rzeczy przy ludziach takich jak Ismel. – Jego głos był pełen troski, ale i lekkiej nagany. – Nie dlatego, że masz rację czy nie, ale dlatego, że ludzie tego nie rozumieją. Oni... Oni nie są tacy jak ty.

Elysande spojrzała na brata, czując ukłucie w sercu.

– A jeśli ja nigdy nie będę taka jak oni, Callenie?

Callen uśmiechnął się lekko, unosząc jej podbródek dłonią, by spojrzeć w oczy.

– Właśnie dlatego ich wszystkich przewyższasz. Ale musisz nauczyć się tego nie pokazywać. Czasem prawdziwa siła leży w ciszy, nie w słowach.

Elysande westchnęła, napięcie powoli ustępowało, zastępowane przez zmęczenie. Wiedziała, że Callen miał rację. Ale to nie zmieniało faktu, że czuła się jak ptak w złotej klatce, walczący o każdy oddech.



Elysande leżała na łóżku, wpatrując się w sufit, którego biel wydawała się teraz przygaszona przez pomarańczowy blask zachodzącego słońca. Powietrze w komnacie było gęste od upału, niemal lepkie. Skóra na jej ramionach przylepiała się do lnianej pościeli, a wiatr, który ledwo poruszał zasłonami, nie przynosił żadnej ulgi. Pachniało kurzem, rozgrzanym drewnem i ziołami, które wciąż w niej tkwiły po całym dniu pracy.

Głowę obróciła na bok, patrząc na swoje dłonie. Skórki przy paznokciach były poszarpane, krwawiące w niektórych miejscach, chociaż próbowała je zakryć. Wstydziła się tego, ale nie umiała przestać. Czuła, że to jedyny sposób, by rozładować napięcie, które wiecznie w niej pulsowało – napięcie, którego nawet nie umiała nazwać. Nieustanne drżenie, które rozlewało się pod skórą.

Leżała tak, z palcami przesuwającymi się bezwiednie po narzutce, słuchając własnych myśli, które znów oplatały jej umysł. Myśli, których nienawidziła, a które wracały każdej nocy. Śmierć.

Jak to możliwe, że o niej myślała tak często? Tak nagle, bez powodu. Jakby była cieniem, który zawsze czekał za rogiem, gotowy dotknąć jej ramienia. Nie wiedziała, kiedy zaczęło ją to prześladować. Czy od śmierci matki? Czy od śmierci tych, o których słyszała w opowieściach o wojnach i plagach? A może była to myśl, która rodziła się po cichu w jej sercu z każdym kolejnym wieczorem, z każdym kolejnym zasypianiem, gdy wiedziała, że jutro może nie nadejść.

Zawsze myślała o tym nocą. Gdy świat cichł, a jej myśli stawały się głośniejsze. Patrzyła wtedy na sufit i wyobrażała sobie, jak to będzie. Jak to jest po prostu zniknąć. Zostać wessaną w pustkę, gdzie nie ma już nic. Gdzie jest tylko... nieistnienie. Niepewność ścisnęła jej serce, jak lodowaty szpon. Było coś niemal dziecinnego w tej myśli, w tej próbie zrozumienia tego, czego nie dało się pojąć. Ale to ją paraliżowało.

Czy to będzie ból? Czy cisza? A może coś więcej? Coś, o czym nie wie, czego nie rozumie?

Wydawało jej się, że większość ludzi o tym nie myśli. Że śmierć ich nie przeraża. Albo nauczyli się to wypierać, uznawać za coś oczywistego. A ona? Nie umiała. Każda noc była walką z tym lękiem, z tą myślą, że w każdej chwili może się skończyć. Że jej istnienie, tak kruche, tak niepewne, może po prostu przestać być.

W takich chwilach jej umysł chwycił się jedyne, co dawało jej jakiegokolwiek ukojenie. Rozważań o sensie istnienia. O tym, co mogło być potem. Czy cokolwiek jest po? Czy świadomość może przetrwać, czy to wszystko – myśli, marzenia, strachy – rozplyną się w nicłość?

Patrzyła na swoje dłonie – na poszarpane skórki i pulsujące żyły pod skórą, jakby pytała samą siebie, czy to wszystko było warte zachodu. Te próby, te godziny spędzone w pracowni, ta nieustanna walka o wiedzę. Czuła, że musi robić, że musi coś po sobie zostawić. Że może to jedyna droga, by odsunąć tę myśl, by nadać sens istnieniu, które z każdym dniem zdawało się coraz bardziej ulotne. Być może to była jej próba oszukania śmierci. Próba pozostawienia

śladu. Nawet jeśli miała zostać zapomniana, może choć jej wiedza przetrwa? Może jej wysiłki miały sens? Zaciśnęła palce na pościeli. Nie chciała się poddać tej myśli, ale wiedziała, że to walka, której nigdy nie wygra. Zawsze wracała, gdy cichły rozmowy i znikaly światła, a ona zostawała sama. Może tak po prostu musiało być. Może musiała się nauczyć żyć ze świadomością śmierci, tak jak nauczyła się żyć ze świadomością tego, kim jest. I tego, kim nigdy nie będzie.

Zamknęła oczy, przyciskając dłonie do piersi. Czuła, jak serce bije nierówno, jakby chciało wyrwać się z jej klatki piersiowej. Zanim zasnęła, pomyślała o tym, że czasem bardziej przeraża ją życie niż śmierć. Bo życie było trudniejsze. I bardziej nieprzewidywalne.



Gabinet pachniał pergaminem, kurzem i starym winem. Ciężkie zasłony tłumiły światło dnia, a na stole z ciemnego dębu piętrzyły się raporty – związane sznurkiem zwoje i luźne kartki z pieczęciami różnych zarządców.

Edric siedział przy stole wyprostowany jak posąg, dłonie miał splecione przed sobą, spojrzenie twarde jak granit. Jego milczenie miało wagę – nie było miejsca na zbędne słowa. Callen, siedzący obok, wiercił się na krześle, jakby chciał wydostać się z niewidzialnych więzów. Jego oczy ślizgały się po pergaminach, lecz wciąż wracały do ojca, jakby szukały potwierdzenia, że dobrze rozumie.

Elysande starała się nie oddychać zbyt głośno. Wiedziała, że każde westchnienie może zabrzmieć jak niepokój, a każde poruszenie – jak słabość. Słuchała uważnie, notując w myślach, ale jedno zdanie sprawiło, że zadrżała.

– Ustrel zgłasza śmierć stu sztuk bydła, w dodatku susza na południu naszych włości pustoszy pola – powiedział Edric, nie podnosząc głosu.

Zapadła ciężka cisza. Elysande czuła, jak oczy ją pieką, a w gardle rośnie coś twardego, czego nie mogła przełknąć. Nie chciała płakać. Nie przy nim.

– Możemy... – zaczęła, lecz głos jej zadrzał. Przełknęła ślinę i spróbowała raz jeszcze. – Możemy przekierować zapasy z północnych wsi. Choćby na miesiąc. Dopóki...

– A potem co? – przerwał jej Edric. Nie było w tym gniewu, tylko ciężar doświadczenia. – Gdy północ przyjdzie po swoje i znajdzie spichlerze puste?

Elysande spuściła wzrok. Czuła wstyd – nie za propozycję, ale za to, że jej głos zdradził emocje. Wiedziała, że ojciec je dostrzegł.

Edric oparł się w fotelu. Zamilkł na chwilę, jakby oceniał nie tylko sytuację, ale i swoje dzieci. Wreszcie powiedział:

– Władza to nie prawo do wydawania rozkazów. To obowiązek dźwigania cudzej nędzy. Kto tego nie rozumie, nie jest godny mieć pod sobą ludzi.

Callen otworzył usta, ale nic nie powiedział. Edric spojrzał na niego – twardo, lecz bez gniewu.

– Ty, synu, musisz nauczyć się słuchać, zanim nauczysz się mówić. I patrzeć, zanim zaczniesz działać. Serce to nie słabość, ale musi być poddane rozumowi. Inaczej pociągniesz ludzi za sobą w przepaść, myśląc, że ich ratujesz. – Potem spojrzał na Elysande. Dłużej niż zwykle. Jego oczy złagodniały na ułamek sekundy – niemal niezauważalnie. Gdyby nie znała go tak dobrze, nie dostrzegłaby nic. – Ale nie wstydz się tego, że cię to boli – powiedział cicho, jakby tylko do niej. – Gdy przestanie, wtedy będę się martwił.

To jedno zdanie sprawiło, że coś w niej pękło – lecz nie w sposób widoczny. Skryła to, jak zawsze. Jak uczył ją ojciec.

– Proszę, pozwól mi przygotować plan. Jeśli uda się rozłożyć dostawy... możemy kupić czas – powiedziała, opanowując głos.

Edric skinął głową.

– Zaczynasz rozumieć. I to dobry początek.

Callen wyszedł pierwszy – z ulgą, ale i cieniem zamyślenia na twarzy. Elysande została, jeszcze przez chwilę przeglądała dokumenty, jakby szukała czegoś konkretnego, choć w rzeczywistości chciała tylko zebrać myśli.

Edric nie odezwał się od razu. Wstał powoli, podszedł do okna i odsunął zasłonę.

– Matka też czasem płakała po tych naradach – powiedział cicho. – Ale nigdy przy ludziach.

Elysande uniosła głowę zaskoczona. Nie pamiętała matki jako kogoś słabego – była dla niej ciepłem, z którego tak wiele zniknęło po jej śmierci.

Edric odwrócił się, patrząc na nią z tą samą powagą co zawsze, ale teraz była w niej nuta wspomnienia. Może nawet żalu.

– Gdy nosisz odpowiedzialność, samotność staje się twoją towarzyszką – dodał. – Ale nie musi cię pożerać. Czasem wystarczy, że ktoś ją dostrzeże. – Zamilkł, jakby powiedział więcej, niż zamierzał. Przeszedł obok niej i sięgnął po świecę, którą rozпалиł przy kominku. – Dobrze myślisz, Elysande. Ale nie daj się przytłoczyć. Ci, którym chcemy pomóc, potrzebują siły, nie łez. – Zatrzymał się przy drzwiach, zanim wyszedł. – Jesteś moją córką. I to widać. – Po tych słowach odszedł, zostawiając ją samą z ciężarem, który po raz pierwszy wydał się... nieco lżejszy.



Elysande budziła się powoli, z ciężką głową i gorzkim posmakiem w ustach. Nie była pewna, czy to wino, czy emocje poprzedniego wieczoru pozostawiły po sobie taki ślad, ale wiedziała, że nie będzie to spokojny poranek.

Jej odpoczynek został brutalnie przerwany przez energiczne pukanie do drzwi. Nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi uchyliły się, a w szparze pojawiła się znajoma twarz – Callen. Jego oczy błyszczały, jakby cały poprzedni wieczór nie zrobił na nim najmniejszego wrażenia. Uśmiechnął się szeroko, wchodząc do środka, zanim zdążyła zaprotestować.

– Elysande, wstawaj! – zawołał radośnie, ignorując jej zmęczoną minę. – Ruszamy z ojcem na polowanie, a ty wciąż śpisz.

Dziewczyna zmrużyła oczy, siadając na łóżku i próbując zapanować nad wirującym pokojem.

– Callen, czy musisz być taki głośny? – wymamrotała, pocierając skronie. – Głowa mi pęka.

Brat zaśmiał się lekko, zrzucając jej kołdrę na bok.

– Może to nauczka, żeby następnym razem pić mniej wina przed snem? – Jego ton był żartobliwy, ale w oczach kryła się troska.

Elysande rzuciła mu zde gustowane spojrzenie, ale w końcu westchnęła.

– Ojciec powiedział coś więcej? – zapytała, bardziej z ciekawości niż z obawy.

Callen wzruszył ramionami, siadając na skraju łóżka.

– Nie, jak zwykle był mało mówny. Wiesz, jaki jest. Ale z pewnością ma już swoje przemyślenia na twój temat. – Nachylił się do niej, jego głos stał się cichszy. – Musisz bardziej uważać, Elysande. Wszyscy patrzą na ciebie inaczej niż na inne damy. Każde twoje zachowanie... No cóż, wyróżniasz się.

Elysande spuściła wzrok, przypominając sobie wieczór przyjęcia i wszystkie komentarze, które na nią spadły – zarówno te ubrane w uprzejmości, jak i te, które przypominały ciosy sztyletem.

– Nie chciałam się wyróżniać – powiedziała w końcu, niemal szeptem.

Callen pokręcił głową.

– Nie unikniesz tego. To, co cię odróżnia, to twoja siła, Elysande. Ale w tym świecie trzeba umieć ukryć ją pod maską, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment, by ją ujawnić. – Wstał, poprawiając skórzane rękawice, które wisiały przy jego pasie. – A teraz wstawaj, zanim ojciec zacznie się zastanawiać, co robię tak długo.

– Znowu ruszacie na polowanie? – zapytała, ignorując jego ostatnie słowa.

– Tak – przyznał, zmierzając w stronę drzwi. – To najlepszy czas na jelenie. Powinno być owocne. Może przyniosę ci coś na uspokojenie twojej głowy – dodał z uśmiechem, puszczając jej oczko.

Elysande patrzyła, jak wychodzi, zostawiając lekko uchylone drzwi. Jego wesołość była jak ożywczy powiew wiatru, ale przypominała jej również, jak bardzo się różnili. Callen był beztroski, pełen życia i idealnie wpasowywał się w rolę dziedzica rodu Vermont. Ona zaś czuła się jak więzień we własnym domu.

Westchnęła ciężko, zrzucając nogi na chłodną podłogę. Świadomość, że Callen i ojciec ruszają na polowanie, zostawiała ją z mieszkanką ulgi i dziwnego niepokoju, którego nie potrafiła wyjaśnić. Była to jednak codzienność, w której żyła – ich ścieżki były różne, a każde z nich podążało swoją drogą.

Wyjazd ojca zawsze niósł ze sobą pewien rodzaj ulgi, jakby jego surowa obecność wyparowywała wraz z dźwiękiem kopyt jego konia. Ale tym razem Elysande nie mogła poczuć spokoju, który zwykle towarzyszył jego nieobecności. Zostawienie posiadłości pod pieczę ciotki Adaline zapowiadało dni pełne ciężkiej atmosfery. Elysande znała doskonale jej metody – precyzyjnie

skonstruowane litanie, w których każde zdanie było jak przypomnienie o tym, kim powinna być, a kim nie była. Ciotka zdawała się mieć talent do przekuwania etykiety i domowych obowiązków w narzędzia kontrolowania innych, zwłaszcza jej.

Patrząc przez okno swojej komnaty, Elysande obserwowała, jak Callen i ojciec oddalają się w stronę drogi do lasu wraz ze służbą. Ich sylwetki powoli ginęły między drzewami, a z nimi jej ostatnia tarcza przed nieuchronnym. Westchnęła, czując, jak niepokój ściska jej żołądek.

– To będzie długi tydzień – mruknęła do siebie.

Wiedziała, czego się spodziewać. Ciotka Adaline była mistrzynią w organizowaniu dni wypełnionych nudnymi zajęciami. Nauka etykiety, przeglądanie haftów, wybieranie tkanin na nowe suknie – wszystko to było dla Elysande koszmarem, zwłaszcza że te czynności były jedynie pretekstem do wytykania jej rzekomych wad.

„Dama powinna być ozdobą rodu”, słowa ciotki odbijały się w jej głowie jak echo. „Nie zrozum mnie źle, Elysande, masz pewien urok, ale kto będzie cię podziwiał, gdy wciąż znikasz w tej swojej pracowni?”

Pracownia. Już teraz wiedziała, że Adaline z pewnością spróbuje ograniczyć jej czas spędzony w jej ukochanym miejscu. Jak zawsze, pod pozorem dbania o jej zdrowie i reputację. „Zapach ziół i te wszystkie wywary nie są odpowiednie dla damy”, mówiła ciotka, jakby sama ich woń mogła odjąć Elysande szlachetności.

Przygnębiona wizją nadchodzących dni, Elysande zaczęła przebierać w myślach możliwe wymówki, które pozwoliłyby jej unikać ciotki. Ale żadna nie wydawała się wystarczająco przekonująca. Adaline była zbyt przebiegła, zbyt wprawna w sztuce wyłapywania wymówek i podwójnych znaczeń.

Kilka godzin później, podczas pierwszego spotkania w salonie, ciotka rozpoczęła swoje uwagi z całą subtelnością, jakiej można było od niej oczekiwać.

– No, moja droga, skoro twój ojciec i brat zajęci są sprawami mężczyzn, mamy czas, by zadbać o ciebie. Pamiętaj, Elysande, że to, jak postrzegają cię inni, jest kluczowe. Nie możemy pozwolić, by ktokolwiek miał powód do plotek. – Ostatnie słowo wypowiedziała z delikatnym naciskiem, który sprawił, że dziewczyna zacisnęła szczękę.

– Plotki – odparła sucho. – Ciotko, czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Adaline uśmiechnęła się, zadowolona, że udało jej się sprowokować odpowiedź.

– Nie, skarbie. Ale wiesz, jak ludzie potrafią mówić. A twój ojciec z pewnością chciałby widzieć cię na odpowiedniej pozycji – u boku odpowiedniego męża.

Słowa ciotki były jak ukłucie, przypominając Elysande o ciągłym nacisku, by spełniała rolę, której nigdy nie chciała.

– Odpowiednia pozycja – powtórzyła, próbując zachować spokój. – Czyli taka, która nie obejmuje mojej pracowni, ani mojej nauki?

Adaline uniosła brew, jakby nie rozumiała pytania.

– Twoja nauka, moje dziecko, to uroczy kaprys. Ale nie oszukujmy się – żadna z nas nie wierzy, że doprowadzi cię do czegokolwiek znaczącego. Jesteś córką Vermontów, a nie wiejską zielarką.

Te słowa utkwiły w Elysande jak kolce, choć nie pozwoliła, by ciotka zobaczyła, jak bardzo ją zraniły. Wiedziała, że najbliższe dni będą wyzwaniem, nie tylko dla jej cierpliwości, ale i dla jej ducha. Czekały ją niekończące się liturgie obowiązków, które miały zamknąć ją w złotej klatce tradycji, od której pragnęła uciec.

Następny poranek zaczął się od stukotu obcasów ciotki Adaline na korytarzu. Elysande usłyszała kroki już z oddali i poczuła znajomy ucisk w żołądku. Jej ciotka była jak burza – gwałtowna, nieunikniona, zostawiająca po sobie zamęt. Zanim zdążyła się przygotować na starcie, drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem, a w progu stanęła Adaline w idealnie skrojonej szkarłatnej sukni, która kontrastowała z jej surowym spojrzeniem.

– Elysande, czy zamierzasz w końcu przestać tracić czas na te swoje fanaberie i robić coś pożytecznego? – zaczęła bez wstępów jak zwykle. W dłoni trzymała misternie haftowaną chusteczkę, którą obracała nerwowo między palcami, jakby nawet ten niewielki gest był dla niej sposobem na wyrażenie dezaprobaty.

– Dzień dobry, ciociu. Jakie są twoje plany na dziś? – Elysande starała się zachować spokój.

Adaline zmrużyła oczy, jakby ton Elysande był kolejnym dowodem jej rzekomej niesubordynacji.

– Moje plany? Moje plany to upewnić się, że twoje dni nie są zmarnowane na bzdury.

Dziewczyna zacisnęła dłonie, ale nie odpowiedziała. Wiedziała, że każda riposta tylko rozpętałaby burzę, której nie była w nastroju znosić.

– Dobrze – ciągnęła ciotka. – Dziś zaczniesz od lekcji etykiety z mistrzem Marcellusem. Może uda się zrobić w końcu z ciebie damę z prawdziwego zdarzenia. Potem omówimy twoją garderobę. Kilka sukni wymaga zmiany, by wyglądały stosownie. A na koniec – haftowanie. Żaden lord nie chce kobiety, która nie potrafi nawet uszyć porządnej chustki.

– Oczywiście, ciociu. – Elysande westchnęła w duchu, ale na zewnątrz pozostała niewzruszona.

Adaline skinęła głową z satysfakcją.

– Dobrze, że przynajmniej potrafisz słuchać. Ale pamiętaj, czas ci ucieka. Każdy dzień, który spędzasz na tych swoich wymysłach, to dzień stracony dla naszej rodziny.

Lekcja etykiety z panem Marcellusem była równie przytłaczająca jak zawsze. Starszy mężczyzna, ubrany w nienagannie skrojoną szatę, miał talent do wytykania każdej niedoskonałości w zachowaniu Elysande.

– Panno Vermont, twoje ukłony wciąż są dalekie od doskonałości – powiedział, poprawiając sobie okulary. – Gdybyś była na królewskim dworze, taki ukłon uznano by za obrazę.

– Czy teraz lepiej, panie Marcellusie? – Elysande powtórzyła gest, starając się tym razem głębiej skłonić.

Marcellus spojrzał na nią z umiarkowanym zadowoleniem.

– Lepiej, ale wciąż brakuje elegancji. Pamiętaj, ukłon to nie tylko gest – to manifestacja twojej pozycji i szacunku. Historia naszego królestwa pełna jest przykładów, gdy niewłaściwy ukłon mógł przesądzić o losie całego rodu.

Elysande uniosła brew, widząc szansę na chwilę oddechu od ciągłych korekt.

– Czy możesz podać przykład, panie Marcellusie?

Mistrz poprawił mankiet szaty, jakby zastanawiał się, czy powinien tracić czas na opowieść.

– Lady Alma z rodu Therionów. Młoda kobieta o wielkich ambicjach. Podczas audiencji u króla Jorena skłoniła się zbyt płytko, zbyt dumnie. Królewski Obronca nawet nie czekał na znak, lady Alma nie zdążyła powiedzieć słowa, a jej głowa potoczyła się po podłodze. Królewski dwór nie wybacza braków w etykiecie. A ty, jako córka jednego z najstarszych rodów w tym królestwie, zaczniesz na nim gościć prędzej czy później.

– Czy jeden gest naprawdę powinien mieć taką moc? Czy to nie król był zbyt surowy? – Elysande poczuła, jak wzbiera w niej obrzydzenie.

– Moja droga, w Vardane każdy gest ma znaczenie. Nawet najmniejszy może zadecydować o przyszłości. – Marcellus zmrużył oczy.

Gdy lekcja dobiegła końca, Elysande poczuła ulgę, ale nie na długo. Ciotka Adaline już czekała, gotowa omówić kwestie garderoby. Jej spojrzenie omiatało suknię Elysande z widocznym niezadowoleniem.

– Ta sukienka jest zbyt prosta – skomentowała, wskazując na kremowy materiał. – Kobieta twojego statusu powinna nosić coś, co podkreśla jej pozycję. Spójrz na tę czerwoną, jedwabną suknię. Wyglądałabyś w niej cudownie.

– To bardzo ozdobna tkanina. Nie sądzisz, ciociu, że lepiej pasuje na wielkie przyjęcia? – Elysande z trudem powstrzymała się przed przewróceniem oczami.

– To właśnie problem, Elysande – odparła ciotka z wyraźnym wyrzutem. – Ty w ogóle nie myślisz o takich wydarzeniach. Żaden lord nie zainteresuje się kobietą, która woli zioła od salonów.

Dziewczyna zagryzła wargę, powstrzymując się przed odpowiedzią. Wiedziała, że każda próba obrony tylko pogorszy sytuację. Skinęła głową i przytaknęła, mając nadzieję, że to zakończy rozmowę.

Ten dzień był męczący i pełen napięcia, ale w sercu Elysande narastała determinacja. Wiedziała, że nie pasuje do ram, które próbowała jej narzucić ciotka. I choć czuła się zmęczona ciągłym naporem oczekiwań, coś w niej mówiło, że musi podążać własną drogą – nawet jeśli oznacza to samotność.



Elysande siedziała przy oknie w swojej komnacie i patrzyła na nocne niebo. Chłodny wiatr niósł zapach kwiatów z ogrodu, ale nawet to nie koło jej skołatanych myśli. Jej dłonie spoczywały na parapecie, zimne od dotyku kamienia, a wzrok błędził po ciemnych konturach otaczających posiadłość wzgórz. Noc była spokojna, niemal zbyt spokojna, jakby świat poza murami domu wstrzymał oddech.

Była młodą kobietą, córką rodu Vermont, władców ziem pełnych urodzajnych pól, gajów oliwnych i dolin. Jej życie, przynajmniej z zewnątrz, wydawało się usłane różami. Jednak w sercu czuła ciężar, którego nie potrafiła zrzucić. To uczucie bycia narzędziem – kawałkiem pięknie zdobionej porcelany, której jedynym celem było błyszczeć w odpowiednim świetle, a w razie upadku zostać zapomnianą i zastąpioną nową.

Pogładziła swoją dłoń, przypominając sobie rozmowę z ciotką. Każde jej słowo było jak kolec wbity głęboko w jej duszę. „Nie nadajesz się. Nie spełniasz oczekiwań. Nie jesteś wystarczająca”. Wciąż słyszała te zarzuty. Czuła, że cały świat wokół niej mówił jednym głosem, a jej miejsce było ustalone, i każde odstępstwo oznaczało porażkę.

Elysande nie była głupia. Zganiła się w myślach za swoje rozgoryczenie. Miała dach nad głową, jedzenie na stole, służących dbających o jej komfort. Wiedziała, że wielu na prowincjach nie doświadczało takiego luksusu. Myślała o tych, którzy żyli w cieniu głodu – chłopach, którzy z trudem mogli wyżywić swoje rodziny. Czasami słyszała opowieści o wsiach, gdzie dzieci umierały z niedożywienia, a ich rodzice modlili się o litość, której nigdy nie otrzymali.

Były też Ziemie Niechciane. Każdy znał legendy o tych przeklętych terenach – o miejscach, gdzie magia dawnego Imperium wymknęła się spod kontroli, tworząc pustkowia skażone i niebezpieczne. Tereny te były naturalnymi granicami między królestwami, praktycznie nie do przekroczenia, nawet mając odpowiednich przewodników i ochronę, co skutecznie hamowało terytorialne zapędy pozostałych państw na Kontynencie, małe skrawki lądu na granicach bezpieczne do przemierzania były zbyt cenne dla handlu. Mówiono, że na obrzeżach tych ziem żyli ludzie – nieszczęśnicy, którzy nie mieli innego wyboru. Ich życie było walką z dziką magią i z samą ziemią, która zdawała się

nienawidzić życia. Strach ścisnął jej serce, gdy próbowała sobie wyobrazić, co oni musieli przeżywać każdego dnia.

Elysande wzięła głęboki oddech, aby uciszyć te myśli. „A mimo to siedzę tutaj, w mojej komnacie i czuję się źle, jakbym miała prawo do tego niezadowolenia”. Wiedziała, że nie powinna narzekać. Ale jak mogła tego nie robić, skoro jej życie zdawało się zamknięte w klatce oczekiwań? Jak mogła być szczęśliwa, skoro czuła, że nigdy nie będzie mogła być sobą? Czy nauka była jej ucieczką? Czy poświęcanie czasu ziołom, alchemii i lecznictwu miało sens, skoro prawdopodobnie nigdy nie będzie mogła użyć tej wiedzy? Mężczyźni rządzący Vardane nigdy oficjalnie nie dopuszczali kobiet do roli medyków, co najwyżej tolerowali wiejskie zielarki. A w Akademii Medycznej? Kobieta byłaby skandalem – jej miejsce było w domu, a nie na sali wykładowej.

Zamknęła oczy, opierając czoło o ścianę. W myślach pojawił się niewyraźny obraz jej matki Lysy – pięknej, delikatnej kobiety, której śmierć była początkiem tego chaosu. Ojciec zmienił się po jej odejściu, a ciotka Adaline wprowadziła się do ich domu, próbując wypełnić pustkę. Ale to, co wypełniła, wydawało się jednocześnie zasypywać coś w duszy Elysande. „Czy ona też czuła się jak narzędzie? Jak część większej maszyny, która nie pyta o zdanie?”

Elysande otworzyła oczy, wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Jej wielkie, zielone oczy zdawały się pełne pytań, na które nie miała odpowiedzi. „Czy to wystarczy?” – pomyślała, dotykając swojej twarzy. „Czy wystarczy być piękną, posłuszną i uległą, by zadowolić świat?” W głębi serca wiedziała, że nigdy taka nie będzie. I może dlatego czuła, że nigdy naprawdę nie znajdzie swojego miejsca w tym świecie.

Rozdział 2

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy Elysande usłyszała odgłos kopyt i szczekanie psów. Z okna komnaty zobaczyła ojca i Callena, wracających z polowania w otoczeniu służby. Ojciec siedział dumnie na koniu, a Callen, jak zwykle, jechał z boku, z łukiem przewieszonym przez ramię i lekkim uśmiechem na twarzy. Na jednym z wozów ciągnięto ich zdobycze – dwa jelenie i dzika.

Elysande poczuła ulgę. Tydzień spędzony pod okiem ciotki był dla niej męczący i duszący, pełen docinków i niekończących się wymagań. Widok brata wywołał na jej twarzy szczery uśmiech, niemal zapomniany przez ostatnie dni.

Wyszła na dziedziniec, gdzie Callen zeskoczył z konia. Ledwie zdążyła postawić stopę na żwirze, a on już podszedł do niej z triumfalnym wyrazem twarzy, unosząc strzałę z pióropuszem.

– I co, siostrzyczko? Nie powiedziałaabyś, że jestem łowcą? To moja strzała trafiła tego dzika! – powiedział z przesadnym patosem, naśladując ton, którym zwykle posługiwał się ich ojciec.

Elysande zaśmiała się, kładąc ręce na biodrach.

– Nie byłabym tego taka pewna. Może po prostu ktoś za ciebie go upolował, a ty przypisujesz sobie zasługi.

– Jak możesz tak mówić! Ojciec jest świadkiem mojego triumfu! – Callen zrobił minę, jakby właśnie ugodziły go jej słowa, i teatralnie złapał się za serce.

Zza pleców chłopaka wyłonił się Edric, przysłuchując się tej wymianie zdań z lekkim rozbawieniem, choć na jego twarzy wciąż malował się poważny wyraz.

– Elysande, nie mów takich rzeczy. Callen dziś naprawdę się popisał. Czysty strzał, jak przystało na mężczyznę, który w przyszłości obejmie moje miejsce.

Dziewczyna zmieszała się na chwilę, ale Callen od razu przerwał niezręczną ciszę, biorąc ją pod ramię i ciągnąc w stronę ławki pod drzewem.

– Nie słuchaj go. To polowanie było nudniejsze niż twoje zajęcia z ciotką. Ale przynajmniej udało mi się czegoś dokonać – w przeciwieństwie do niej.

Elysande zaśmiała się, wdzięczna za lekki ton rozmowy. Czuła, jak napięcie ostatnich dni powoli opada. Callen miał w sobie coś, co potrafiło ją rozbawić – nie tylko złośliwe poczucie humoru, ale też autentyczną troskę, którą okazywał drobnymi gestami.

Gdy tak rozmawiali, coś w jego spojrzeniu przykuło uwagę dziewczyny. Przez ułamek sekundy zauważyła w jego oczach coś, co zbiło ją z tropu – jakby lekką mglistość, cień zmęczenia czy może ból. Przepadło to tak szybko, jak się pojawiło, przykryte beztróskim uśmiechem. Ale uczucie niepokoju nie chciało jej opuścić.

– Wszystko w porządku? – zapytała cicho, przyglądając się bratu uważnie. Callen machnął ręką.

– Oczywiście! Chyba nie martwisz się o mnie po tym, jak pokonałem największego dzika w lesie? Po prostu jestem zmęczony. Całe to polowanie wymagało więcej wysiłku, niż przypuszczałem.

Elysande skinęła głową, ale jej myśli krążyły wokół tego, co zobaczyła. Ta mętność w jego oczach... Skądś ją znała. Gdzieś o tym czytała. Było to ulotne wspomnienie, które nie chciało nabrać wyraźniejszych kształtów. Zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, ale jej umysł zdawał się wyslizgiwać z objęć myśli.

– Wiesz co? Idę się odświeżyć – powiedział Callen, wstając z ławki. – Później powinniśmy coś razem zrobić, co ty na to? Tylko nie zaproś ciotki, bo nie zniosę kolejnych rozmów o moim przyszłym ślubie.

Elysande uśmiechnęła się niemrawo i pokiwała głową.

– Dobrze. Zastukaj do mojej pracowni, kiedy będziesz gotów.

Callen odszedł w stronę posiadłości, zostawiając ją samą pod drzewem. Jej uśmiech zniknął, a w jego miejsce pojawiła się powaga. Cień niepokoju w jej sercu pozostał. Coś było nie tak.



Wieczór nadszedł, a w posiadłości Velmontów z oddali słychać było gwar i śmiech dobiegające z wielkiej sali biesiadnej. Komnata, oświetlona blaskiem licznych kandelabrow, rozbrzmiewała dźwiękami muzyki i rozmów. Ucztę przygotowano z wielką starannością – kuchnia tętniła życiem, a stoły ugięły się pod ciężarem wykwinnych dań, wśród których królowała pieczona dziczyzna, marynowana w ziołach, podawana z korzennymi sosami i aromatycznymi dodatkami. Były też misternie zdobione pasztety, pieczywo w kształcie wieńców i wiele innych smakowitości.

Callen, siedząc obok ojca, wyglądał na rozpromienionego i pełnego energii. Co chwila rzucał żarty, które wywoływały śmiech gości i łagodny uśmiech na twarzy Elysande. Przez moment wszystko wydawało się doskonałe. Nawet ciotka Adaline, zwykle surowa, wyglądała na mniej krytyczną, zadowolona z atmosfery i dumna z bratanka. Elysande po raz pierwszy od dawna poczuła się częścią prawdziwej, kochającej rodziny. Wspólne świętowanie zjednoczyło ich, choć na chwilę.

Kiedy wszyscy już najedli się do syta, a rozmowy zaczęły przybierać bardziej swobodny ton, Callen wstał z kielichem w dłoni. Wysoki i pewny siebie, wyglądał jak młody lord, którym miał się w niedalekiej przyszłości stać. Ojciec kiwnął głową z aprobatą, pozwalając mu przemówić.

– Drodzy zebrani! – zaczął Callen, jego głos donośnie rozbrzmiewał w sali. – Dziś nie tylko świętujemy sukces naszego polowania, ale także naszej rodziny, naszych ziemi i ludzi, którzy razem z nami budują ten dom. Niech bogowie... – przerwał na chwilę, jakby szukając właściwych słów, a jego głos stał się bardziej chwiejny. – Niech bogowie... mają nas... w opiece...

Elysande, która do tej pory uśmiechała się lekko, nagle zauważyła, że coś jest nie tak. Callen przestawał mówić płynnie, a jego spojrzenie – to samo, które zaniepokoiło ją wcześniej – stało się jeszcze bardziej mętne. Jego oczy zdawały się szklić, jakby otaczała je niewidzialna mgła. Widziała, jak jego ręka, trzymająca kielich, zaczyna lekko drżeć.

– Bracie? – wyszeptała, nie ruszając się z miejsca, ale napięcie w jej głosie było wyczuwalne.

Callen próbował kontynuować.

– Niech nasze ziemie... nasz dom... zawsze...

Jego słowa urwały się, kiedy ciało nagle osunęło się na stół. Kielich przewrócił się, rozlewając wino, które popłynęło czerwoną strugą po białym obrusie. Goście zamarli, a potem zerwali się z miejsc, przerażeni. Callen upadł na ziemię z głuchym odgłosem, a jego głowa bezwładnie osunęła się na bok.

– Callen! – krzyknęła Elysande, rzucając się w jego stronę. Uklękła przy nim, odrzucając służbę, która próbowała ją powstrzymać. Dotknęła czoła brata, a gdy to zrobiła, poczuła, jakby parzył ją żywy ogień.

– Jest cały rozpalony! – powiedziała, odsuwając rękę, ale natychmiast pochyliła się z powrotem, by sprawdzić jego oddech. Był płytki i szybki.

Ojciec Elysande również pochylił się nad Callenem, blady jak ściana, a jego głos, zwykle pełen autorytetu, teraz drżał.

– Co się dzieje z moim synem?! Wołać medyka! – wykrzyczał.

Elysande nie odpowiedziała, jej umysł pracował gorączkowo. Wspomnienia jej nauk i lektur zaczęły chaotycznie przelatywać przez głowę.

„Gorączka... O bogowie, gorączka poprzedzona nieskładną mową i nagłą utratą przytomności...” – myślała. Gdzieś o tym czytała. W jednej z ksiąg opisano coś podobnego. Jej ręce drżały, gdy próbowała przypomnieć sobie szczegóły.

Służba rzuciła się po medyka, a sala wypełniła się chaosem – panikującymi gośćmi, rozrzuconymi kielichami i gorączkowymi szeptami. Jednak Elysande widziała tylko brata, leżącego bez życia u jej stóp. W jej umyśle pojawiła się jedna, zatrważająca myśl – „To nie jest zwykła choroba...”

Rozdział 3

Sypialnia Callena, zwykle jasna i pełna życia, teraz przypominała przytłaczający grobowiec. Ciężkie kotary zasłaniały światło dnia, a powietrze było przesycone mieszkanką ziół, potu i wilgoci. Callen leżał na wielkim łożu, które wydawało się zbyt duże dla jego osłabionego ciała. Jego twarz, niegdyś pełna blasku, była blada i zroszona potem. Skóra wokół oczu przybrała siny odcień, a klatka piersiowa unosiła się w nierównych, szybkich oddechach.

Choroba, która go zaatakowała, była jak cichy, nieubłagany wróg. Gorączka pochłaniała go od środka, a ciało walczyło na granicy wytrzymałości. Objawy były charakterystyczne, choć przerażające – wysokie, wyniszczające temperatury, mętność w spojrzeniu, bolesne wybroczyny pojawiające się pod skórą.

Elysande czytała o czymś podobnym. Choroba była znana z brutalności – paradoksalnie tak działała na młodych i silnych.

Medyk Ferns, człowiek w średnim wieku o siwiejących skroniach i zmęczonym spojrzeniu, stał przy łóżku, trzymając w dłoniach bezużyteczne narzędzia.

Elysande nigdy za nim nie przepadała, każde jej pytanie dotyczące leczenia kończyło się ignorowaniem jej na tyle grzecznie, że nie spowodził na siebie gniewu jej ojca za zniewagę, i na tyle skutecznie, że dziewczyna po kilkunastu próbach w końcu odpuściła sobie. Widocznie nauki profesorów Akademii Medycznej dotyczące traktowania kobiet pytających o sprawy, których wszak ich umysłem pojąć nie są w stanie, nie poszły w las w jego przypadku. Jego czoło błyszczało od potu, a ręce drżały, gdy próbował uspokoić ojca Elysande.

– Lordzie Velmont... – zaczął, ale głos mu się załamał. – Zrobiłem wszystko, co mogłem. Gorączka nie ustępuje, a objawy wskazują na chorobę, która była jedynie teorią, spotykaną tylko w starych księgach...

Ojciec Elysande, o twarzy napiętej od gniewu i bólu, rzucił się na medyka. Jego dłoń uderzyła go w twarz z taką siłą, że echo rozbrzmiało w całym pomieszczeniu.

– Teoria?! Ty masz leczyć mojego syna, a nie dywagować nad teoriami! – krzyknął lord, jego głos drżał od tłumionej rozpaczki.

Lekarz chwycił się za policzek, ale nie odważył się spojrzeć na Edrica.

– Nie potrafię... Nie ma lekarstwa, które mógłbym zastosować od ręki. Mogę jedynie spróbować obniżyć gorączkę...

Elysande, stojąc przy boku brata, próbowała zachować spokój, choć czuła, jak całe jej wnętrze drży. Jej wzrok utkwiał w wybroczynach na jego ramionach, które teraz przypominały cienie. Myślami wróciła do rozważań dawno już nieżyjącego profesora z Królewskiej Akademii Medycznej, którego podarowany jej przez dawnego nauczyciela traktat o rzadkich chorobach czytała wiele miesięcy temu. Wspominał o podobnych przypadkach, opisując, jak choroba pochłaniała młodych ludzi w czasach Starego Imperium. Profesor sugerował, że istnieje sposób na leczenie – substancja pozyskiwana z pleśni, która mogła zwalczyć zakażenie. Jednak proces jej uzyskania opisany w traktacie był skomplikowany i czasochłonny, wymagał również aparatury alchemicznej, której Elysande nie posiadała.

– Nie zdążymy – wyszeptała, niemal nieświadoma swoich słów.

– Co mówiłaś? – spytał ojciec, odwracając się do niej gwałtownie.

– Nie zdążymy... – powtórzyła głośniejszym głosem, czując, jak oczy pieką ją od łez. – Czytałam o tym... Lek, o którym wspomniał Ferns, prawdopodobnie istnieje, ale zanim zostanie przygotowany... Callen...

– Nie mów tego! – przerwał jej Edric, jego głos wibrował gniewem i desperacją. – Nie pozwolę, by mój syn... by Callen...

Lekarz kiwnął głową z lekką niechęcią, jakby potwierdzając słowa Elysande.

– Lady Elysande ma rację. Proces pozyskania tego leku zajmuje dni, może tygodnie... To... jest poza naszym zasięgiem.

Elysande osunęła się na kolana przy łóżku brata, chwytając jego rękę. Łzy spływały po jej policzkach, gdy szeptała:

– Callen, proszę... Nie zostawiaj mnie...

Brat nie zareagował, jego oddech był ledwo wyczuwalny. Cicha obecność śmierci zawisała nad pomieszczeniem jak cień, a Elysande, po raz pierwszy w życiu, poczuła prawdziwą bezradność.

Cisza, jaka zapadła w pokoju, była niemal namacalna, przerywana jedynie nierównym oddechem Callena i cichym trzaskaniem świec.

Ciotka Adaline, siedząca przy drugim końcu łóżka, trzymała chusteczkę przy twarzy, tłumiąc cichy szloch. Jej spojrzenie błędziło gdzieś ponad Callenem, jakby nie mogła znieść widoku jego wyniszczonej twarzy.

– To wszystko... to wszystko przez to polowanie – szepnęła, jakby próbowała obwinić cokolwiek, co mogłoby złagodzić jej poczucie bezradności.

– Nie teraz, Adaline – powiedział Edric cicho, ale stanowczo. Jego głos był jak stary, pękający dąb – twardy na zewnątrz, lecz zniszczony wewnątrz.

Elysande utkwiała wzrok w twarzy brata. Jeszcze kilka dni temu wyglądał tak zdrowo, tak promiennie, a teraz jego rysy stały się ostre i wyblakłe. Wydawało się, że gorączka pochłania go kawałek po kawałku, pozostawiając jedynie cień dawnego Callena. Próbowwała w pamięci odtworzyć każdy fragment wiedzy, każdą informację, która mogłaby pomóc, ale jej myśli były rozproszone ze strachu.

Medyka już dawno nie było. Zrezygnowany po kolejnych nieudanych próbach, wycofał się do swoich kwater. Lekarstwa, które podał Callenowi, zdawały się nie mieć żadnego efektu. Czas mijał powoli, każda minuta wydawała się godziną, a nadzieja malała z każdym oddechem brata.

Elysande czuła, jakby była w potrzasku. Wpatrując się w cienie, które rzucały świece na ściany, jej myśli stały się coraz bardziej chaotyczne. Czy to koniec? Czy naprawdę nic nie da się zrobić? Znała odpowiedź medyka – była nią śmierć, nieuchronna i bezlitosna. Ale nie potrafiła tego zaakceptować.

Nad ranem ojciec i ciotka, zmęczeni i wyczerpani, zapadli w niespokojny sen na krzesłach w rogu pokoju. Elysande siedziała skulona w kącie, mając kolana przyciśnięte do piersi. Jej wzrok wciąż był utkwiony w Callenie. Podniosła głowę, kiedy promień światła oświetlił półkę z książkami stojącą przy ścianie. Na chwilę czas zdawał się zatrzymać, jakby samo powietrze w pokoju nabrało ciężaru. W jej myślach pojawił się obraz – mała, drewniana skrzynka ukryta w szafie w jej pokoju. Księga. Ta księga.

Mistrz, który przez lata odwiedzał ich posiadłość, zostawił jej księgę kilka lat temu – jakby przeczuwał, że przyjdzie dzień, gdy stanie się jej jedyną deską ratunku. Wtedy nie rozumiała jeszcze jej znaczenia. Była młoda, zafascynowana słowami mistrza, lecz nieświadoma, co naprawdę kryło się za tym, co jej przekazał.

Był to przekład z czasów Starego Imperium – księga pełna zakazanej wiedzy, którą Trybunał uznawał za herezję. Jej posiadanie było równoznaczne z wyrokiem śmierci.

Stare Imperium... Nazwa, która z biegiem wieków przestała być tylko wspomnieniem. Stała się cieniem, echem wielkości, które wciąż unosiło się nad świadomością ludzi – przesycona niezrozumieniem, niepokojem i lękiem. Mówiono, że Imperium sięgnęło szczytów potęgi – ale też sięgnęło po coś, po co nie powinno.

Ci, którzy przybyli na Kontynent, znaleźli puste miasta. Monumentalne. Imponujące. Ale martwe. Niezniszczone przez kataklizm, lecz przez czas. Ich mury kruszyły się powoli, ale bez wyraźnych śladów walki. Ich wieże – przeżarte przez wiatr, nie ogień. Na tych ruinach wzniesiono dzisiejsze królestwa.

Ale było coś jeszcze. Coś, o czym mówiono tylko szeptem, gdy miało się pewność, że Trybunał nie słyszy – o ile mówiono w ogóle. Na ulicach miast leżały ciała. Tysiące.

Spokojne. Zastygłe. Jakby śmierć przyszła nagle – i bez ostrzeżenia. Bez wojny. Bez śladu zarazy.

Tylko cisza.

– To miejsce wydało swoje ostatnie tchnienie, ale jego dusza wciąż krąży – powiedział kiedyś mistrz. – A wiedza, którą pozostawiło, może cię ocalić albo zgubić.

Opowiadał jej o alchemii i magii, które wyprzedzały współczesność o całe epoki. O metodach leczenia – i niszczenia – równie skutecznych. Ta wiedza przetrwała tylko w strzępach – w zakurzonych księgach, fragmentach zwojów, w niekompletnych zapisach rozsianych po królestwach.

Czasem ktoś zdołał coś odszyfrować, ale nigdy nie przynosiło to spokoju. Zawsze budziło więcej lęku niż nadziei. Język Imperium pozostawał zagadką. Mówiono, że ci, którzy go opanowywali, zmieniali się. A wraz z nimi – świat

wokół. Z tego powodu Trybunał dawno temu zakazał badania pozostałości po Imperium. Przynajmniej w Vardane. Inne królestwa podchodziły do sprawy różnie.

Mistrz mówił o tej księdze z powagą, której nigdy wcześniej u niego nie widziała.

– Wiedza to ciężar – rzekł, gdy wręczał jej zamkniętą skrzynkę. – Ale to ciężar, który warto dźwigać. Pamiętaj jednak, Elysande, on zawsze ma swoją cenę.

Ostrzegał ją, że każda stronica, każdy symbol i każde słowo to droga, która prowadzi na krawędź – do miejsca, z którego powrót nie zawsze jest możliwy.

Elysande czuła, jak jej oddech staje się płytszy, a serce bije szybciej. Stare Imperium stało się niemal mitem – legendą o potędze, która zniszczyła sama siebie. A jednak miała przed sobą część tej potęgi. Część, która mogła ocalić Callena lub zgubić ich wszystkich.

W głowie rozbrzmiewały słowa mistrza: „To, co wiesz, definiuje, kim jesteś”. Czy była gotowa zdefiniować siebie przez tę decyzję? Czy wiedziała, kim stanie się, jeśli otworzy tę księgę? Patrzyła na światło muskające półkę z książkami i czuła, jak cisza w pokoju zaczyna ją dławić. Czuła wagę tego momentu – jakby losy nie tylko jej, ale i całego świata, zależały od jej decyzji. Czy jest w stanie unieść ciężar wiedzy, która zburzyła kiedyś całe imperium?

Zadrżała, kiedy jej myśli powróciły do skrzynki ukrytej w szafie. Wstała z miejsca, czując, jak powietrze wokół niej wydaje się gęstsze. Wiedziała jedno: czasu było coraz mniej, a Callen potrzebował jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Szła powoli, serce waliło jej w piersi. Czy powinna? Czy ma prawo? Czy posunięcie się do zakazanej wiedzy nie byłoby wyrazem pychy, o której tak często mówiono w kazaniach Trybunału? A jednak... Callen umierał. Jeśli był choć cień szansy na jego uratowanie, czy miała moralne prawo się wahać? Ale jej wątpliwości miały swoje podstawy. Co, jeśli zawiedzie? Co, jeśli ta wiedza przyniesie coś gorszego niż śmierć? Czy zaryzykuje nie tylko życie Callena, ale i swoje? Wiedziała, że Trybunał nie wybaczyłby jej tego, a jej ród poniósłby nieodwracalne konsekwencje. Jej myśli wirowały, walcząc między rozpaczą a resztką logiki.

– Jeśli nie teraz, to kiedy? – szepnęła do siebie, czując, jak w sercu rodzi się cicha determinacja. Patrząc na brata, widziała już tylko cień chłopaka, którego tak bardzo kochała. Nie mogła pozwolić, by umarł bez walki.

Elysande zamknęła się w swojej komnacie, przekręcając klucz w zamku z lekkim drżeniem dłoni. Zasłony szczelnie zakryły okna, a płomień pojedynczej świecy rzucał niepewne cienie na ściany. Powietrze wydawało się ciężkie, jakby samo pomieszczenie wstrzymywało oddech w oczekiwaniu na to, co zaraz się wydarzy. Dziewczyna usiadła na podłodze, opierając plecy o ścianę, a jej wzrok spoczął na małej, drewnianej skrzynce ukrytej pod stertą sukni w szafie. Wydobyła ją ostrożnie, jakby skrzynka była czymś żywym, co mogłoby ją ugryźć. Otworzyła wieko, a jej oczy natychmiast przyciągnęła ciężko, bogato zdobiona okładka. Przekład był stary, ale w dobrym stanie, jakby sam czas bał się naruszyć jego powierzchnię. Przesunęła palcami po wyrytych znakach Starego Imperium, które zdobiły grzbiet księgi. Geometryczne linie, tworzące skomplikowane wzory. Serce biło jej szybko, a w myślach wrzały wątpliwości.

Czy miała prawo sięgnąć po zakazane? Czy ratowanie życia może być złe, nawet jeśli narusza się święte prawa?

Drżącymi dłońmi otworzyła księgę... Pierwsze przepisy dotyczyły eliksirów i mikstur – potężnych, nieznanym współczesnym zielarzom czy medykom. Te fragmenty nie budziły w niej strachu, tylko fascynację. To, co przyszło później, wstrząsnęło nią do głębi.

W kolejnych rozdziałach widniały opisy magii, przed którą Trybunał przestrzegał w każdej ze swoich rozpraw. Wypaczonej i niebezpiecznej magii Starego Imperium. Jej ręka zadrżała, gdy przejeżdżała palcem po przetłumaczonych słowach zapisanych ostrym, dziwnie brzmiącym językiem, który wydawał jej się bardziej dźwięczny niż brutalny.

Elysande przestała oddychać, czytając szczegóły. Magia ta różniła się od legend i bajek, w których słyszała o czarownikach wykorzystujących moc do niszczenia. Były to traktaty lecznicze – przeznaczone do ratowania życia, uzdrawiania ran i przywracania sił. A jednak Trybunał uważał, że sam fakt ich istnienia czyni je niebezpiecznymi, nie do przyjęcia w ich surowych prawach. „Czy coś, co ratuje życie, może być inherentnie złe?” – zastanawiała się, czując, jak wątpliwości rozkwitają w jej sercu.

Próbowała odnaleźć sens w tym, co czytała. Czy to, że pochodziły ze Starożytności, czyniło te zaklęcia złymi? Czy wiedza sama w sobie mogła być zła, czy to raczej ludzie byli odpowiedzialni za jej niewłaściwe użycie? Słowa nauczyciela, który przekazał jej tę księgę, wracały do niej echem: „Wiedza nie jest ani dobra, ani zła. To nasze decyzje nadają jej moralną wagę”.

Elysande czuła, jak jej myśli krążą w pętli. Czy naprawdę miała w sobie odwagę, by użyć czegoś takiego? Czy potrafiłaby poprawnie wymówić słowa, których znaczenia nie rozumiała w pełni? A jeśli zawiedzie? Jeśli zaklęcie obróci się przeciwko niej lub – co gorsza – przeciwko Callenowi?

Pochyliła głowę, zaciskając dłonie na krawędziach księgi. Czuła się rozdarta między strachem a determinacją. Callen umierał, a czas uciekał. Jeśli nie spróbuje, nigdy sobie tego nie wybaczy. Ale jeśli zawiedzie, może przynieść jeszcze większą tragedię. Jej serce ścisnęło się w bolesnym uścisku, a łzy napłynęły do oczu.

„Czy odwaga polega na podjęciu ryzyka, czy na zaakceptowaniu tego, czego nie można zmienić?” – pytała samą siebie, choć odpowiedzi wciąż nie nadchodziły. W końcu wzięła głęboki oddech i przymknęła oczy. Jej dłonie powoli zamknęły księgę, a echo jej własnych wątpliwości rozbrzmiewało w ciszy komnaty.

Elysande siedziała w milczeniu przy swoim biurku, czuła pulsujący w jej piersi ciężar, jakby powietrze w pomieszczeniu stało się trudniejsze do oddychania. Przed nią leżał przekład – otwarty na stronie opisującej „choroby krwi”, których objawy przerażająco pasowały do tego, co działo się z Callenem.

Gorączka, która przypominała ogień trawiący ciało od środka. Skóra niemal przezroczysta, pod którą widoczne były sine linie nabrzmiałych żył. Słabnący oddech, jakby życie ulatywało z każdym wdechem, a młode ciało walczyło z czymś, czego nie mogło pokonać. Elysande zadrżała, czytając słowa o tym, jak inne życie niszczy krew chorego. Nie rozumiała z tego za wiele, ale w umyśle od razu pojawił się obraz brata, którego ciało wydawało się tak silne jeszcze kilka dni temu, a teraz było jedynie cieniem dawnej witalności.

Z każdą chwilą, gdy wpatrywała się w tekst, czuła narastającą determinację, jakiej nigdy wcześniej w sobie nie знаła. Wciąż miała wątpliwości, moralne rozterki targały jej duszą, ale świadomość, że czas Callena się kończy,

zmieniała wszystko. Oczy jej opadły na słowa, które zdawały się być odpowiedzią – jej krawędzie były zatarte, jakby wiele rąk przerzucało te stronicie w poszukiwaniu tego samego rozwiązania.

Avena solis, tharan koris, nyet arathonis kar.

Przesunęła palcami po zdaniach, jakby próbowała wchłonąć każde słowo i wryć je w swoją pamięć. Brzmienie było surowe, jakby sam język chciał przed czymś ostrzec, ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Wiedziała, że każde słowo musi być perfekcyjne. Żaden dźwięk nie mógł być zniekształcony, żadne tchnienie nie mogło być zbyt długie.

„Czy to, co robię, jest słuszne?” – zadała sobie pytanie w myślach. Wiedziała, że odpowiedzi nie znajdzie w księdze, a mimo to czuła, że musi podjąć ryzyko. Powtarzała w duchu inkantację, układając ją jak melodię w umyśle, wymawiała słowa w ciszy, zanim odważy się wypowiedzieć je na głos. Jej usta poruszały się bezgłośnie, a sylaby odbijały się w jej świadomości niczym echo w pustym pokoju.

Każde powtórzenie słów budziło w niej sprzeczne emocje – była przerażona, ale jednocześnie czuła przypływ cichej determinacji. Nigdy wcześniej nie czuła się tak rozdarta, a jednocześnie tak zdeterminowana. Gdyby miała poświęcić się, by uratować brata, zrobiłaby to bez wahania. Ale czy w jej działaniach nie było ziarna pychy? Czy nie próbowała igrać z siłami, które były poza jej zrozumieniem?

Rozpacz i miłość do Callena były jednak silniejsze niż strach. Przesunęła ręką po księdze, delikatnie przewracając kolejne strony, szukając dodatkowych wskazówek, jak poprawnie wykonać zaklęcie.

W kącie pokoju wiatr poruszył firanką, wpuszczając do środka chłodny powiew nocy. Elysande podniosła wzrok, jakby szukała odpowiedzi w ciemnościach za oknem, ale na zewnątrz było tylko milczenie. Westchnęła ciężko, po czym przymknęła oczy i znowu zaczęła powtarzać inkantację w myślach.

– Nie ma czasu na strach – szepnęła do siebie, a dźwięk jej własnego głosu w ciszy pokoju zabrzmiał niemal jak obietnica.

Przez moment wpatrywała się w świecę stojącą na biurku, jakby szukała w jej tańczącym płomieniu siły. Wiedziała, że decyzja została już podjęta. Jeśli miała zaryzykować, jeśli miała wybrać między pewną śmiercią brata

a niepewnością zakazanej wiedzy, wybór był oczywisty. Nie miała pojęcia, że za językiem Imperium kryje się więcej niż tylko słowa. Przede wszystkim wyrażenie emocji. Wewnętrzna harmonia i pełna świadomość intencji były kluczowe. Bez tego każde zdanie w tym języku było jak rzut kostką, w którym chaos miał ostatnie słowo. Ta wiedza, choć odkrywana przez nielicznych, nigdy nie została jasno opisana w przekładach ksiąg ze Starego Imperium. Dla Elysande te szczegóły pozostawały tajemnicą, a brak tej wiedzy miał na zawsze odmienić jej życie.

Pomieszczenie wydawało się duszne, choć okna były otwarte, a wieczorny wiatr delikatnie poruszał zasłony. Świece na stoliku migotały. Wokół panowała cisza – przerywana jedynie urywanym oddechem jej brata i jej własnym przyspieszonym biciem serca. Wiedziała, że to jej ostatnia szansa. Callen był sam w pokoju. Ojciec i ciotka odpoczywali, ufając, że ona, starsza z rodzeństwa, będzie czuwać nad nim, tak jak zawsze to czyniła. W rzeczywistości to ona ich przekonała, że potrzebują snu.

– Odpocznijcie, proszę – powiedziała z dziwną pewnością, której sama w sobie wcześniej nie знаła. – Ja się nim zajmę.

Teraz, gdy była sama z Callenem, jej ręce drżały. Musiała je złapać za siebie, próbując uspokoić. „Musisz to zrobić”, mówiła do siebie w myślach. Głos był obcy, chłodny, niemal rozkazujący, ale dodał jej sił. Zamknęła oczy i zaczęła powtarzać słowa w myślach – brzmiały ostro, jakby każdy dźwięk wyrывał się z jej umysłu i wypełniał przestrzeń wokół. Wyobrażała sobie, jak dźwięk tych słów otacza Callena, dociera do jego ciała. Powtarzała je raz za razem, wyrывała w pamięci każdą sylabą, aż czuła, że zna je lepiej niż własne imię.

Elysande zbliżyła się do łóżka. Callen wyglądał jeszcze słabiej niż wcześniej.

– Przepraszam, Callen – wyszeptała, kładąc drżącą dłoń na jego czole. Jego skóra była gorąca jak ogień. – Muszę spróbować.

Wzięła głęboki oddech i zaczęła wypowiadać słowa na głos.

Avena solis, tharan koris, nyet arathonis kar.

Jej głos na początku był ledwo słyszalny, ale z każdym słowem nabierał siły. Brzmiał dziwnie w tej ciszy – obcy, jakby należał do kogoś innego. Słowa unosiły się w powietrzu, wypełniając pokój, jakby miały własne życie. Gdy

wypowiedziała ostatnie słowo, poczuła, jak napięcie w powietrzu się zmienia. Jej słowa zdawały się otulać Callena niewidzialną aurą. Wtedy drgnął.

Elysande przez chwilę poczuła nadzieję, ale zaraz potem jej świat rozsypał się na kawałki. Z nosa Callena zaczęła płynąć cienka strużka krwi, która szybko zmieniła się w potok. Jego ciało zaczęło drgać, jakby coś wewnątrz niego walczyło o wyjście.

– Nie! – krzyknęła, chwytając go za ramiona, próbując go unieruchomić, ale jego ciało wydawało się obce, jakby było napędzane siłą, której nie rozumiała.

– Służba! Pomocy! – Jej głos rozdarł ciszę, ale nikt jeszcze nie nadchodził. Callen dusił się, jego oczy zaszkły krwią, a ciało wiło się w agonii.

Elysande widziała, jak z każdą chwilą jego życie uchodzi z ciała.

Nagle wszystko ucichło. Jego ciało opadło na łóżko, a ona poczuła, jak świat wokół niej zamarł. Słyszała własny przyspieszony oddech, czuła bicie serca w skroniach, ale wszystko inne wydawało się odległe. Callen się nie poruszał.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, wpuszczając do pokoju służbę i ojca, który wbiegł z ciotką zaraz za nimi.

– Co się stało?! – Jego głos był pełen przerażenia.

Elysande nawet nie drgnęła. Wpatrywała się w twarz Callena, której bladeść wydawała się teraz nieludzka. Jej krzyk – pełen bólu, rozpacz i winy – odbił się echem w murach posiadłości. Była pewna, że ten dźwięk będzie prześladował ją już na zawsze.



Pokój Elysande był pogrążony w mroku, zasłony szczelnie okrywały okna, a jedyne światło pochodziło od słabego blasku dnia przedzierającego się przez szczeliny. Dziewczyna leżała na łóżku, ciało miała zgarbione, jakby pragnęła zniknąć, a twarz schowana w poduszkę była mokra od łez. Sen przyszedł do niej niespodziewanie, głęboki i ciężki, ale bynajmniej nie przynoszący ukojenia.

Nagle drzwi otworzyły się z traskiem, a jasne światło dnia wpadło do pokoju, raniąc jej zmęczone oczy. Zbudzona, uniosła się na łokciach, mrużąc oczy i zasłaniając je dłonią.

– Co się dzieje? – wymamrotała, jej głos był ochrypły, prawie obcy.

Ojciec stał w drzwiach. Wyglądał jak cień człowieka – jego twarz była zniszczona, oczy podkrążone, a barki pochylone, jakby cały świat przygniótł go swoim ciężarem, za nim stała ciotka Adaline, jej oczy szeroko otwarte, pełne gniewu i strachu kipiały pod maską dystygowanej powagi.

– Musimy porozmawiać – zaczął ojciec, ale jego głos był słaby, ledwo słyszalny. – O pogrzebie Callena... – Jego słowa urwały się nagle, jakby ktoś wbił mu nóż w pierś, a wzrok zatrzymał się na ręce Elysande, tej samej, którą zasłaniała oczy. – Co to jest? – wydusił z siebie, cofając się o krok.

Ciotka krzyknęła cicho z przerażeniem.

– Bogowie, co to za przekleństwo?! – Drżąca ręka Adaline wskazała dłoń bratanicy.

Dziewczyna spojrzała na nich oszołomiona, nie rozumiejąc reakcji. Dopiero po chwili opuściła rękę i spojrzała. Jej oddech się urwał, a serce biło jak oszalałe. Na dłoni i nadgarstku pojawiły się dziwne, delikatne linie tworzące raz to chaotyczne, a raz geometryczne kształty – jakby ktoś wyrysował na skórze złotym atramentem cienką sieć. Linie zaczynały się przy nadgarstku, wspinały po wierzchu dłoni i kończyły na opuszkach palców. Znaki zdawały się pulsować delikatnym blaskiem, niemal niewidocznym w świetle dnia, ale w mroku wydawały się niemal żywe. Były zbyt symetryczne, zbyt precyzyjne, by być przypadkowym uszkodzeniem skóry.

Elysande poczuła, jak lodowaty dreszcz przeszedł przez jej kręgosłup. Adaline zrobiła krok do przodu, a jej głos zmienił się z przerażonego w rozwścieczony.

– Co to jest, Elysande? Coś ty zrobiła?! Sprowadziłaś przekleństwo na nasz dom! – Słowa ciotki były ostre jak sztylet, rzucane w gniewie.

– Ja... nie wiem – wyszeptała Elysande, jej głos był ledwo słyszalny.

Dziewczyna spojrzała na ojca, szukając choć odrobiny zrozumienia, ale znalazła tam tylko chłód i strach. Jego dłoń zacisnęła się w pięść, jakby powstrzymywał się od zrobienia czegoś gwałtownego.

– Nie wiesz?! – krzyknęła ciotka histerycznie. – Te znaki... to jest kara! Kara za twoje dziwactwa, za twoje zabawy w zielarkę i alchemika! Ostrzegalam cię, że to się źle skończy! A teraz sprowadziłaś zgubę na nasz ród!

Elysande cofnęła się w głęb łóżka, jakby słowa ciotki mogły ją fizycznie zranić. Próbowwała coś powiedzieć, zaprzeczyć, wytłumaczyć, ale w głowie panował chaos. Obraz znaków na dłoni zdawał się wypalać w jej umyśle. Przypominała sobie słowa mistrza o konsekwencjach sięgania po zakazaną wiedzę, o odpowiedzialności, która przychodzi z tym, czego nie da się cofnąć.

Ojciec uniósł rękę, uciszając ciotkę. Jego głos, choć słaby, wciąż miał w sobie autorytet.

– Elysande, czy to ty? – zapytał, patrząc na nią z mieszaniną strachu i zawodu. – Czy zrobiłaś coś, czego nie powinnaś?

Elysande spojrzała na ojca, a łzy spływały po jej policzkach. Nie była w stanie odpowiedzieć. W jej głowie wciąż odbijały się słowa języka Imperium, jak echo, które nie chciało ucichnąć.

Ojciec wpatrywał się w nią intensywnie, jego wzrok pełen był gniewu i niezrozumienia.

– Co to ma znaczyć? – zapytał głosem pełnym napięcia. – Coś ty zrobiła, dziewczyno?

Elysande, wciąż oszołomiona i zdezorientowana, wyciągnęła dłonie przed siebie, jakby chciała coś wytłumaczyć, ale słowa więzły jej w gardle.

– Ja... próbowałam... tylko pomóc... – wyszeptała, a jej głos drżał. – Callen... on... – mamrotała coraz bardziej nieskładnie, czując, jak narasta w niej panika.

Ojciec zbliżył się gwałtownie, a jego spojrzenie przeszywało ją na wylot. Jego wzrok padł na otwartą szafę w kącie pokoju. Coś przyciągnęło jego uwagę – skrzynka, która leżała uchylona, z której wystawała krawędź starej księgi.

– Co to jest? – zapytał, głos miał teraz cichy, lecz pełen grozy.

Elysande odwróciła wzrok, jej serce niemal stanęło. Zrozumiała, że zostawiła skrytkę otwartą.

– Nie... – wyszeptała, ale było już za późno.

Ojciec sięgnął do skrzynki, jego dłonie zacisnęły się na okładce. Powoli wyciągnął księgę, jakby bał się tego, co może w niej znaleźć. Spojrzał na inskrypcje na okładce i jego twarz momentalnie pobladła. Bez słowa odrzucił księgę na podłogę, jakby parzyła go w dłonie.

Księga upadła z głuchym trzaskiem, a inskrypcje Starego Imperium zalśniły w nikłym świetle.

– Coś ty zrobiła?! – krzyknął, patrząc na Elysande z niedowierzaniem, jakby przestał ją rozpoznawać.

Elysande zaczęła płakać jak małe dziecko, a głos załamywał się, gdy próbowała się wytłumaczyć.

– Ja... ja chciałam tylko... chciałam tylko, żeby żył... – Jej słowa były zlepką desperacji i żalu. – Nie wiedziałam, co jeszcze mogę zrobić...

Ciotka Adaline, której twarz wykrzywił gniew, ruszyła w stronę dziewczyny z uniesioną ręką.

– Przekłeta! – krzyknęła, wymierzając jej siarczysty policzek. Dźwięk uderzenia rozbrzmiał w pokoju. – Sprowadziłaś na nas hańbę! To twoja wina, że on umarł!

Elysande cofnęła się, trzymając dłoń na policzku. W jej oczach błyszczały łzy, ale nie miała siły, by się bronić. Ojciec, który jeszcze chwilę wcześniej wydawał się gotów wybuchnąć, nagle opadł na fotel, twarz ukrył w dłoniach.

– Trybunał nie może się dowiedzieć – wyszeptał bardziej do siebie niż do kogokolwiek w pokoju.

Ciotka się odsunęła, jej przerażone oczy otworzyły się szeroko.

– Nie.... – wyszeptała. – Jeśli oni się dowiedzą, to będzie nasz koniec...

Ojciec podniósł głowę, jego twarz była pełna zmęczenia i gniewu. Spojrzał na Elysande jak na kogoś, kto napętnia go odrazą.

– Adaline, idziemy – powiedział w końcu lodowatym tonem. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

Ciotka podążyła za nim, ale zanim wyszli, ojciec rzucił jeszcze jedno, niemal niesłyszalne polecenie: – Zostaniesz tutaj, Elysande. Nie wychodź z tego pokoju.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem, a chwilę później Elysande usłyszała echo kroków na korytarzu.

– Zamknąć posiadłość do odwołania. – Usłyszała głos ojca, pełen chłodnej stanowczości. – Sprowadźcie doradcę i dowódcę straży, natychmiast.

Elysande osunęła się na podłogę obok książki, jej ciało drżało z wycieńczenia i strachu. W pokoju panowała cisza, przerywana jedynie jej nierównym oddechem. W tle, z oddali, docierał do niej głos ojca wydającego kolejne polecenia, ale brzmiał, jakby był za zasłoną, odległy i obcy. Nie mogła przestać

patrzeć na swoje dłonie i znaki, które zdawały się pulsować własnym, mrocznym życiem.

Elysande spędziła cały następny dzień skulona na łóżku, czując ciężar całego świata spoczywający na jej piersi. Nie miała siły, by wstać, przebrać się czy choćby umyć twarz. Jej ciało było zdrętwiałe od bezruchu, a umysł wciąż pełen obrazów drgającego ciała brata i jego ostatniego oddechu. Łzy już dawno wyschły, pozostawiając na policzkach piekące ślady, ale jej wnętrze było jak pustynia – suche, martwe, pozbawione nadziei.

Słońce zachodziło, gdy na korytarzu rozległy się kroki. Ciężkie, powolne, ale nieuniknione. Drzwi otworzyły się bez zapowiedzi. Ojciec wszedł do środka, Elysande uniosła wzrok, choć ledwo była w stanie spojrzeć na niego. Jego twarz, zazwyczaj surowa, teraz wydawała się pusta, jakby każdy okrucieństwo życia został z niej wyspany. Wyglądał na starszego o całe lata – mężczyznę złamanego przez tragedię, którego ciało i dusza ledwie trzymały się razem. Nie spojrzał na nią. Jego wzrok przesunął się gdzieś ponad jej głową, jakby nie chciał lub nie mógł jej zobaczyć. Zaczął mówić, a jego głos był cichy, ale przepełniony chłodną determinacją.

– Musisz opuścić ten dom, Elysande. Na zawsze.

Te słowa zabrzmiały jak wyrok, a ich echo rozbrzmiało w jej głowie, odbijając się od każdej myśli. Nie była w stanie zareagować, tylko patrzyła na niego z niedowierzaniem, jakby nie rozumiała znaczenia tych słów. Ale on kontynuował, nie pozwalając jej na choćby cień nadziei.

– Nikt nigdy nie może dowiedzieć się, co się tutaj wydarzyło. Nikt nigdy nie może powiązać naszej rodziny z użyciem magii Imperium. To, co zrobiłaś, jest niewybaczalne.

Elysande otworzyła usta, ale żadne słowa nie przyszły jej na myśl. Serce waliło jej jak oszalałe, a ręce zaczęły drżeć. W końcu wyszeptała:

– Ojciec... ja tylko chciałam go uratować...

Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na niej, ale nie było w nim ciepła ani zrozumienia. Zamiast tego dostrzegła gniew i strach.

– Chciałaś go uratować? – zapytał z gorzką nutą w głosie. – A co osiągnęłaś? Callen nie żyje, a ty sprowadziłaś na nas hańbę i przekleństwo. Czy wiesz, co oznacza magia użyta w tym domu? Co oznacza ta... księga?

Elysande spuściła wzrok, łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie, nie rozumiesz. Ja tylko... nie miałam innego wyjścia.

– Nie miałas wyjścia? – przerwał jej ostro. – Masz w ogóle pojęcie, co zrobiłaś? Trybunał zniszczyłby nas wszystkich, gdyby dowiedział się, co masz na dłoniach i co kryje się w tej posiadłości. Nie mogę pozwolić, byś zniszczyła wszystko, co budowali nasi przodkowie.

Przerwał, jakby walczył z własnymi emocjami. Jego twarz skrzywiła się na chwilę, a dłonie zacisnęły w pięści. Gdy znów przemówił, jego głos był bardziej złamany niż wcześniej:

– Nie mogę i nie chcę cię chronić, Elysande. Nie po tym, co zrobiłaś. – Wskazał na znaki na jej dłoniach. – Adaline sugerowała, by cię wydziedziczyć i oficjalnie wygnać, ale to wywołałoby pytania. Zbyt wiele pytań, na które nie mamy odpowiedzi. Dlatego pozwałam ci zachować pierścień, ale wiedz jedno – nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

Te słowa przebiły ją jak ostrze. Pierścień, symbol jej rodu, który nosiła z dumą, teraz stał się niczym kajdany – ostatnie ogniwo łączące ją z rodziną, która już jej nie chciała.

– Ojczy, proszę... – szepnęła, próbując złapać jego spojrzenie – Nie wyrzucaj mnie... to był błąd... ja... ja chciałam tylko pomóc.

Nie odpowiedział. Jego ramiona opadły, jakby stracił całą siłę. Nie spojrzał na nią, gdy odwracał się do drzwi.

– Oznajmiłem wszystkim, że oficjalnie zostałaś wysłana na nauki do Nilen. Masz czas do świtu, zabierz najpotrzebniejsze rzeczy. Potem zniknij. – Otworzył drzwi, a chłód z korytarza wdarł się do pokoju, przyprowadzając Elysande o dreszcze. Widziała, jak jego cień wydłuża się na ścianie, gdy wychodził, a jego kroki odbijały się głucho o kamienną podłogę.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, została sama. Cisza wypełniła pokój, ale w jej głowie wciąż rozbrzmiewały jego słowa. To koniec. Naprawdę koniec.

Elysande siedziała przez chwilę w bezruchu, jakby jej ciało i umysł sprzeciwiały się akceptacji rzeczywistości, która właśnie się przed nią roztaczała. Słowa ojca wciąż brzmiały w jej głowie, jak echo w pustej sali. Musiała odejść. Na zawsze. Wiedziała, że nie ma odwrotu, ale myśl o opuszczeniu domu, o porzuceniu wszystkiego, co знаła, zdawała się nie do zniesienia.

W końcu wstała, choć każdy ruch wydawał się wymagać od niej ogromnego wysiłku. Jej ciało było ciężkie, obolałe i zmęczone, ale musiała działać. Sięgnęła po ubrania, których używała na co dzień w pracowni wiszące na oparciu krzesła. Przebieranie się szło jej powoli, jakby sama tkanina była cięższa niż zwykle. Zaczęła rozglądać się po pokoju, zastanawiając się, co zabrać.

Najpierw sięgnęła po księgę Starego Imperium, ostrożnie układając ją na dnie torby, jakby obawiała się, że może zniknąć, jeśli spuści ją z oczu. Jej dłonie lekko drżały, wiedząc, że to, co trzyma w torbie, mogło ją zgubić, ale jednocześnie było jedyną nadzieją, jaka jej pozostała.

Co dalej? Notes. Jej ukochany, pełen szkiców, notatek i przepisów, które sama stworzyła. Zabrała też ulubioną książkę mistrza alchemii, której czytanie zawsze przynosiło jej spokój. Na stole stały fiołki z lekami – niewielkie, ale cenne. Spakowała kilka z nich, mając nadzieję, że mogą się przydać.

Przyszła kolej na ubrania. Wyciągnęła podróżne stroje – solidne, ale nieco znoszone, w których mogłaby czuć się swobodnie. Upychała je w torbie, nie zwracając uwagi na to, że w pośpiechu nie składała ich starannie. Jej myśli cały czas krążyły wokół tego, co mogła przegapić.

Pieniądze. Musiała mieć pieniądze. Podeszła do szkatuły na biżuterię – bogato zdobionej, pełnej pierścionków, bransolet i kolczyków. Bez wahania otworzyła ją i zaczęła wrzucać wszystko, co się zmieściło, do torby. Była to biżuteria, którą rzadko nosiła, ale teraz mogła być jej ratunkiem.

– Cóż za ironia – pomyślała z rozgoryczeniem – że coś, co zawsze uważałam za zbędne, może uratować mi życie.

Kiedy skończyła, była jeszcze ciemna noc. Czas do świtu zdawał się rozciągać, ale Elysande nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Torba była gotowa, a ona czuła się tak, jakby wszystko, co знаła, już od niej odpłynęło.

Postanowiła wyjść z pokoju. Na korytarzu czekała służąca. Elysande spojrzała na nią pytająco, a dziewczyna odpowiedziała nieśmiało:

– Pan rozkazał, żeby odprowadzić panią do stajni.

W tonie jej głosu Elysande wyczuła nutę współczucia, ale i dystansu.

Gdy dotarli do stajni, zobaczyła przygotowanego konia – ciemnego, silnego wierzchowca, którego dobrze знаła. Jednak to nie on przyciągnął jej uwagę.

Obok niego stał ogrodnik wraz z Iną. Mężczyzna, zgarbiony i skromnie ubrany, trzymał coś w rękach. Jego twarz była spokojna, ale oczy zdradzały smutek.

– Nie wiem, co się dzieje, panienko – zaczął cicho – ale chciałem się pożegnać. Dziękuję za wszystko... za rozmowy, za czas, który mi pani poświęcała

Elysande była zaskoczona. Ogródnik, którego reszta służby traktowała z lekceważeniem, zawsze wydawał się bardziej przyjazny i otwarty wobec niej. Wyciągnął w jej stronę niewielkie zawiniątko i buklak z wodą.

– Na drogę – powiedział.

Elysande spojrzała na niego, a jej serce ścisnęło się z wdzięczności. Nie wiedziała, co powiedzieć. Zamiast tego podeszła bliżej i objęła go mocno. Następnie objęła Inę. Była zaskoczona, ale odwzajemniła uścisk.

– Dziękuję – wyszeptała.

Gdy wsiadła na konia, spojrzała jeszcze raz na ogrodnika i swoją jedyną przyjaciółkę. Stali tam, patrząc na nią z mieszkanką smutku i troski. Jej serce było ciężkie, ale wiedziała, że musi ruszyć.

Kiedy przekroczyła granicę posiadłości, słońce ledwie zaczynało rozświeć horyzont. Elysande po raz ostatni spojrzała za siebie, na dom, który kiedyś był jej światem. Połykając łzy, odwróciła głowę i popędziła konia, zostawiając za sobą wszystko, co знаła.

Rozdział 4

Elysande spędziła dwa dni w siodle, jadąc niespiesznie do najbliższego miasteczka. Droga była cicha, a jedynym towarzyszem jej myśli pozostawał koń, który krok za krokiem niósł ją przez znajome, choć teraz wydające się obce krajobrazy. Gaje oliwne ustępowały łagodnym wzgórzom, a w oddali migotała linia wybrzeża Vardane, przypominająca o domu, którego już nie miała. Ciepły klimat królestwa, jasne słońce i łagodne wiatry, które niegdyś dawały jej poczucie bezpieczeństwa, teraz zdawały się puste, jakby pozbawione sensu. Każdy krok konia przybliżał ją do nieznanego, a myśli wirowały wokół tego, co utraciła i co jeszcze mogło nadejść.

Znaki na dłoniach, ukryte pod bandażami, ciążyły jej bardziej niż torba z rzeczami. Czuła ich ciepło, jakby żyły własnym życiem. Czym były? Karą za pychę i próbę ocalenia brata czy może czymś większym, czemu nie potrafiła jeszcze nadać znaczenia? Szukając swojego miejsca w świecie, jej myśli uciekały w stronę opowieści o innych królestwach, które słyszała od dziecka.

Vardane, jej ojczyzna, znane było z surowych zasad i konserwatyzmu. Tutaj tradycja i honor rodu znaczyły więcej niż jednostka. Kobiety takie jak ona miały wyznaczoną rolę: być ozdobą, damą i matką. Głębokie porty, tętniące handlem, widywały statki z Archipelagu – setek wysp, setek skłóconych ze sobą państw, leżących na zachód od Kontynentu. Zyski z wymiany handlowej były zbyt wielkie, by pozwolić sobie na uprzedzenia, dlatego król Vardane pilnował, by handel z mieszkańcami Archipelagu zawsze przebiegał w pokoju.

Myślami przesunęła się ku Esserin, bogatemu królestwu na wschodzie, którego nigdy nie odwiedziła. Żyzne pola i łagodny klimat uczyniły je najzamożniejszym ze wszystkich, lecz dla niej Esserin jawiło się jako ziemia upadła moralnie. Magia Imperium, niewolnictwo, handel – wszystko było tam towarem. Kusiło, a zarazem odpychało swoją bezwzględną pragmatyką.

Thale – małe, górzyste państwo północy – było inne. Surowe zimy, krótkie lata, ludzie twardzi i nieprzejednani. W opowieściach Thale wydawało się miejscem, gdzie mogłaby odnaleźć schronienie, lecz wiedziała, że jej znaki i przeszłość musiałyby zderzyć się tam z ich bezlitosną tradycją.

Najbardziej fascynował ją jednak Liranor, leżący daleko na południu, odcięty od reszty Kontynentu Ziemią Niechcianymi. Jedynie marynarze lub odważni kupcy mogli dostać się tam drogą morską. Opowieści o egzotycznych zwyczajach pobudzały jej wyobraźnię, ale największą tajemnicą pozostawała Wielka Pustynia, położona na samym krańcu Liranoru.

Pustynia... samo słowo brzmiało złowieszczo. Od pokoleń obowiązywał zakaz zbliżania się do niej, a kara była jedna – śmierć. Granic strzegli rdzenni mieszkańcy, wierni i nieustępliwi w swoim dziedzictwie. Szeptano, że nocą pustynia ożywa – wiatry niosły szepty tysięcy głosów, a piaski jarzyły się bladym światłem, jakby kryły w sobie coś, czego nie należało oglądać. Elysande poczuła dreszcz, gdy o tym pomyślała. Nawet wśród lasów i wzgórz miała wrażenie, że sama myśl o pustyni niesie ze sobą cień.

Pierwszej nocy rozbiła prowizoryczny obóz na skraju lasu. Usiadła pod drzewem, patrząc na owinięte bandażami dłonie. Ciepło znaków pulsowało pod materiałem, jakby same pragnęły zwrócić jej uwagę. Wracały wspomnienia wygnania, śmierci Callena i słów ojca. „Musisz odejść. Na zawsze”. Brzmiały w jej głowie jak wyrok, a ona nie była gotowa go przyjąć.

Drugiego dnia, jadąc dalej, myślami wybiegała ku przyszłości. Co zrobi, gdy dotrze do miasteczka? Uda się do stolicy, do Nilen, gdzie mogłaby ukryć się w tłumie, czy raczej poszuka cichego miejsca na prowincji, z dala od oczu Trybunału? W torbie miała biżuterię, wystarczającą, by przetrwać jakiś czas, lecz wiedziała, że to dopiero początek jej wędrówki.

Kiedy w końcu ujrzała dachy miasteczka, poczuła w sobie dziwną mieszaninę ulgi i lęku. Wciąż była na ziemiach ojca, a szacunek ludzi mógł łatwo zmienić się w donos. Poprawiła bandaż na dłoniach, wyprostowała plecy i spojrzała na drogę przed sobą. „Cokolwiek się stanie, muszę iść dalej”, pomyślała, popędzając konia w stronę znajomego, a jednak obcego miejsca.



Miasteczko, choć niewielkie, sprawiało wrażenie zadbanego i pełnego porządku. Brukowane ulice, schludne domy z kamienia i drewna oraz niewielki rynek w centrum tworzyły obraz niemal przyjazny, lecz Elysande wyczuwała w nim ostrożność. Wiedziała, że w zachodniej części miasta znajdował się posterunek Trybunału, a sama świadomość jego obecności sprawiała, że każdy krok stawał się cięższy. To, co dawniej kojarzyło się jej z ochroną i stabilnością ojcowskich rządów, teraz przynosiło lęk.

Zatrzymała się przed karczmą Pod Dębowym Łbem, którą dobrze pamiętała z podróży rodzinnych. Budynek wyróżniał się na tle innych – solidne kamienne ściany, świeżo olejowane belki i dach z wysokiej jakości dachówek zdradzały, że korzystali z niego wpływowi klienci. Elysande знаła właściciela – chudego, żylastego mężczyznę o siwych włosach i manierach ukształtowanych pod obsługę możnych. Gdy tylko ją ujrzał, skłonił się nisko, choć w spojrzeniu błysnęło pytanie, którego nie odważył się od razu zadać.

– Panno Vermont – zaczął uprzejmie, oceniając ją uważnym wzrokiem. – Niecodzienny widok. Podróżuje pani sama? Czy może pan ojciec zaraz przybędzie?

Ścisnęło ją w żołądku, lecz zmusiła się do spokojnego uśmiechu.

– Nie, ojciec nie przyjechał. Jestem w drodze na nauki – odpowiedziała szybko, zanim padłyby kolejne pytania. – Potrzebuję pokoju na noc i posiłku.

– Oczywiście, panno Vermont. Wszystko zaraz przygotuję. – Karczmarz skłonił się raz jeszcze, kryjąc zaskoczenie.

Zajęła miejsce przy mniej widocznym stoliku, ale jej uwagę od razu przyciągnęli dwaj mężczyźni siedzący w rogu sali. Granatowe szaty ze złotymi obszyciami, wyprostowane sylwetki, spojrzenia zimne i czujne – adepci Trybunału. Serce Elysande przyspieszyło, dłonie skryte pod stołem zacisnęły się w pięści, a po plecach spłynął zimny pot.

Karczmarz, dostrzegłszy jej napięcie, postawił przed nią miskę gulaszu, chleb i kubek ciepłego napoju, poruszając się z przesadną ostrożnością.

– Jak długo pani zostaje? – spytał półgłosem, starając się brzmieć neutralnie, lecz w głosie słychać było niepewność.

– Tylko tę noc – odparła, wpatrując się w dłonie. – Jutro wyruszam dalej.

Nie zdążyła spróbować jedzenia. Adeptci podnieśli się i ruszyli w jej stronę. Pierwszy – wysoki, o surowym spojrzeniu i włosach ściągniętych w ciasny węzeł – zatrzymał się naprzeciwko, obserwując ją z lodowatą uprzejmością.

– Panna Vermont, prawda? – spytał tonem chłodnym, ale pozornie grzecznym. – Niezwykły to widok: córka lorda podróżująca samotnie. Co sprowadza panią do tego miasteczka?

Elysande zmusiła się do spokojnego oddechu.

– W drodze na nauki. Obowiązki wzywają mnie do dalszych studiów – odparła, starając się, by głos zabrzmiał pewnie.

Drugi adept – niższy, z cienką blizną biegnącą przez policzek – zmrużył oczy, mierząc ją spojrzeniem.

– Nauki, powiadasz? A ojciec? Nie towarzyszy ci?

Jej dłonie drżały, ale nie pozwoliła, by to zdradziły.

– Zatrzymały go sprawy w posiadłości. Jestem już wystarczająco dorosła, by podróżować sama.

Blizna poruszyła się, gdy uniósł brew w lekkim niedowierzaniu.

– Samotne podróże bywają niebezpieczne. A te bandaż... – Wskazał dłoń. – Coś się stało?

– To tylko choroba skóry. Muszę używać maści i trzymać dłonie pod opatrunkiem. – Podniosła wzrok.

Wysoki adept zwęził oczy, badając jej twarz, jakby chciał wychwycić cień kłamstwa. Po krótkiej chwili wymienił spojrzenie ze swoim towarzyszem. Obaj wiedzieli, że oficjalne przesłuchanie córki władcy tych ziem bez dowodów mogłoby kosztować ich zbyt wiele.

– Niech tak będzie – powiedział w końcu, a ton głosu brzmiał jak ostrzeżenie. – Ale pamiętaj, panno Vermont... Trybunał zawsze patrzy. Adeptci odeszli tak nagle, jak przyszli, a Elysande miała wrażenie, że ich spojrzenia wciąż tkwią na jej plecach. Karczmarz, który cały czas obserwował scenę z niepokojem, odetchnął i wrócił do zajęć.

Posiłek stał się ciężarem, lecz zmusiła się, by go dokończyć. Potem zamknęła się w pokoju na piętrze. Usiadła na łóżku, wsłuchując się we własny przyspieszony oddech. Ciało domagało się snu, ale myśli nie pozwalały zasnąć – cień Trybunału podążał za nią nawet w ciszy.

Przed świtem zebrała rzeczy, poprawiła bandażę i upewniła się, że torba z księgą jest bezpieczna. Gdy wyszła z karczmy, koń był już osiodłany. Karczmarz, blady i zmartwiony, nie próbował jej zatrzymać.

Droga z miasteczka była pusta i cicha. Pierwsze światło dnia dopiero przebijało się przez resztki nocy, rozlewając bladą poświatę nad wzgórzami. Powietrze było rześkie, pachniało wilgocią i kamieniem. Gdy zbliżała się do granic, dostrzegła sylwetkę jednego z adeptów Trybunału. Stał przed posterunkiem, oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Jego twarz kryła pozłacana maska, pozbawiona wyrazu, zimna i obca. Ich spojrzenia spotkały się na krótką chwilę. Elysande poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz, i natychmiast odwróciła wzrok, jakby kontakt z pustymi oczami maski mógł zdradzić wszystko, co ukrywała. Nawet kiedy sylwetka adepta zniknęła w oddali, miała wrażenie, że jego spojrzenie wciąż tkwi w jej plecach. „On wie” – przemknęło jej przez myśl, choć rozum podpowiadał, że to tylko paranoja.

Skupiła się na drodze przed sobą. Wiedziała, że dotarcie do Nilen, znajdującego się na północno-zachodnim wybrzeżu kraju, zajmie jej około trzech tygodni. Trakt prowadził prosto, a po drodze znajdowały się zajazdy i wioski, w których mogła znaleźć nocleg. Przez pierwsze dni podróż mijała spokojnie – koń stawiał równy krok, a ona mijała jedynie nielicznych wędrowców i kupców. Jednak im bardziej oddalała się od ziem ojca, tym silniej czuła narastające wyobcowanie.

Mieszkańcy wsi i miast, przez które przejeżdżała, przyglądali się jej spojrzeniami pełnymi rezerwy. Samotna kobieta w podróży budziła zdziwienie, a bandażę na dłoniach wywoływały szeptane pytania i nieufność. Choć starała się być uprzejma, nie zatrzymywała się na rozmowy. Czuła chłód spojrzeń, jakby była obca, nieprzynależąca do żadnego z tych miejsc.

Samotność narastała z każdym dniem. Wieczorami, zatrzymując się w zajazdach, siadała na chwilę w kącie izby, z misą gorącego posiłku i unikała rozmów, jakby słowa mogły ściągnąć na nią uwagę, której pragnęła uniknąć. Potem szybko udawała się do wynajętego pokoju. Leżąc na łóżku, nasłuchiwała ciszy – czasem odległego szczekania psa, czasem stukotu kół na bruku. Każdy dzień wydawał się dłuższy od poprzedniego, a znaki pod bandażami paliły ją świadomością, że niesie w sobie coś, co mogłoby wzbudzić jeszcze większy strach, gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw.

Po dwóch tygodniach podróży pogoda nagle się załamała. Na jednym z rozdroży dopadła ją wichura, a burza rozszalała się w mgnieniu oka. Deszcz walił w nią gęstymi strugami, spływając po twarzy i karku, a wiatr zdawał się wypychać ją z powrotem, ku drodze, którą przyjechała. Trakt zamienił się w błotniste grzęzawisko, a drzewa po obu stronach chwiały się i ugiwały, jakby same chciały ją ukryć.

Szukała schronienia, gdy dostrzegła w oddali zarys wozu. Na moment poczuła ulgę – może to kupiec, który pozwoli jej przeczekać burzę pod dachem? Popędziła konia bliżej, lecz z każdym krokiem serce biło jej szybciej.

Kilka postaci stało wokół wozu. Były brudne, w niechlujnych ubraniach, które ledwie chroniły je przed deszczem. Przy pasach miały miecze i sztylety, lecz sylwetki zdradzały brak dyscypliny. Nie rycerze, nie straż – włóczędzy, bandyci. Niektórzy śmiali się wulgarnie, inni pili z glinianych naczyń, przekrzykując się wśród ryku wichury.

Zamarła. Wóz był rozszabrowany, skrzynie porozrzucane w błocie, a strużka krwi prowadziła do nieruchomego ciała leżącego kilka kroków dalej. Kupiec – właściciel – został zabity. W żołądku zacisnął się lodowaty węzeł, a dłoń Elysande bezwiednie zacisnęły się na wodzach.

Jeden z mężczyzn dostrzegł ją, wyciągnął rękę i wskazał w jej stronę. Uśmiech na jego twarzy był obleśny, przepełniony drapieżną radością.

– Patrzcie, co tu mamy! – krzyknął, a jego głos przebił się przez huk wiatru.

Serce Elysande zabiło tak gwałtownie, że aż ją zabolало. Całe ciało sparaliżował strach, a umysł ogarnęła pustka – jakby wszystkie myśli zgasły w jednej chwili. Przez ułamek sekundy była pewna, że nie będzie w stanie się poruszyć.

I wtedy przyszło nagle olśnienie, instynkt. Szarpnęła wodze, koń zarżał i poderwał się do zwrotu. Popędziła w przeciwną stronę, nie oglądając się za siebie. Za plecami niesły się śmiechy i krzyki, lecz nie odważyła się sprawdzić, czy ruszyli w pogoń. Dostrzegła boczną ścieżkę, zagłębioną w las, i skrzyła w nią bez namysłu.

Kolejne minuty były jak trans. Deszcz bił ją w twarz, błoto chlupało pod kopytami konia, a gałęzie smagały jej ramiona i mokre włosy. Nie wiedziała, dokąd prowadzi ta droga ani czy bandyci podążyli jej tropem. Liczyło się tylko jedno – ucieczka.

Dopiero gdy ścieżka zanurzyła się głęboko w las, zwolniła, aby złapać oddech. Cała drżała – nie tylko z zimna, lecz od napięcia, które wciąż buzowało jej w żyłach. Oddech rwał się płytko i szybko, a w głowie kołatała uporczywa myśl: „Czy udało mi się uciec?”. Wiedziała jednak, że nie mogła pozwolić sobie na odpoczynek.

Dziewczyna podjęła decyzję, by podążać ścieżką dalej. Zawrócić nie mogła – myśl o tym, co mogliby z nią zrobić bandyci, paraliżowała ją bardziej niż mrok lasu i nieznany teren. Czy ruszyli za nią w pościg? Nie wiedziała, ale nie zamierzała tego sprawdzać. Każdy trzask gałęzi czy szelest liści zdawały się być echem ich kroków, choć w rzeczywistości był to tylko wiatr.

Jechała bez wytchnienia, ignorując deszcz, który spływał jej po twarzy, i wilgoć przesiąkającą ubrania. Ścieżka była wąska, kręta i zarośnięta, jakby nikt nie używał jej od lat. Gałęzie smagały ją po ramionach, a korzenie wystające z ziemi groziły wywróceniem konia. Mimo to parła naprzód, kierując się instynktem, który kazał jej uciekać jak najdalej.

Dwa dni wędrowała przez las. Była zmuszona nocować pod drzewami, drżąc z zimna i przerażenia. Nie miała pewności, czy bandyci jej nie ścigają, ale świadomość, że mogliby ją dopaść, nie pozwalała jej na spokojny sen. Jadła oszczędnie to, co miała w sakwie, i piła wodę ze strumienia po drodze.

Drugiego ranka las się przerzedzał. Początkowo była zbyt zmęczona, by to zauważyć, ale gdy światło dnia zaczęło rozpraszać cienie, zobaczyła, że gęste drzewa ustępują miejsca łagodnym łąkom. Zielone wzgórza i dzikie kwiaty zapowiadały coś nowego, spokojniejszego. Na horyzoncie dostrzegła niewielką wioskę. Ledwie widoczną w porannej mgle, z niskimi, drewnianymi domami otoczonymi polami. Nie mogła uwierzyć, że ktoś mógł się osiedlić w tak odludnym miejscu. W głowie pojawiła się myśl, że to może być pułapka, ale wyczerpanie i głód wygrały z ostrożnością.

Była przemoczona, zmęczona i wystraszona. Myśl o dachu nad głową i czymś ciepłym do zjedzenia była teraz jedyną, która dawała jej siłę, by iść dalej. „Choćby mieli pogonić mnie psami...” – pomyślała gorzko, patrząc na zabudowania.

Świt dopiero wstawał, a światło dnia barwiło niebo na jasny róż i pomarańcz. Koń, równie zmęczony co jego pani, snuł się wolnym krokiem, jakby czuł, że w końcu odpoczną. Elysande otuliła się przemoczonym płaszczem

i zmusiła, by spojrzeć na wioskę z nadzieją. „Cokolwiek się stanie, muszę spróbować” – pomyślała, zaciskając dłonie na wodzach.

Zbliżała się powoli. Gdy zeszła z siodła, poczuła na sobie spojrzenia mieszkańców. Ci, którzy nie byli jeszcze w polu, patrzyli na nią z wyraźnym zaciekawieniem. Odruchowo poprawiła bandaż na dłoniach i skupiła się na otoczeniu. Wtedy przykuła jej uwagę scena pod jednym z domów. Stało tam dwoje młodych ludzi, niewiele starszych od niej, i rozmawiało z siwą, zgarbioną kobietą. Młoda kobieta trzymała w ramionach zawiniątko – niemowlę. Płakało cicho, a razem z nim łzy spływały po policzkach matki.

– Proszę, pomóż nam – prosiła młoda kobieta, jej głos łamał się od płaczu.

– Nie mamy zielarki, ale może... może pani coś wie...

– Żałuję, dziecko, ale nie potrafię. To za wiele dla mnie. – Stara kobieta pokręciła głową.

Matka spuściła głowę, mocniej przytulając niemowlę.

– Proszę... niech nam ktoś pomoże – wyszeptała, jakby do siebie.

Elysande podeszła bliżej. Kroki na mokrej ziemi zwróciły uwagę całej trójki. Spojrzeli na nią zdziwieni, a ona skupiła wzrok na dziecku.

– Co jest dziecku? – zapytała, głos miała łagodny, ale zdecydowany.

– Pani jest... kimś ważnym? – spytała, a w jej głosie brzmiała jednocześnie nadzieja i niepewność. Młoda kobieta spojrzała na nią z wahaniem.

– Nie jestem już „panią” – przerwała Elysande. – Powiedzcie mi, co się dzieje z dzieckiem.

Kobieta, która przedstawiła się jako Arnella, odezwała się cicho, walcząc ze łzami.

– Ma gorączkę od dwóch dni. Wymiotuje, ma biegunkę. Boję się, że nie przeżyje...

Elysande słuchała uważnie, dopytując o szczegóły: czy dziecko je, czy gorączka nasila się nocą, czy miało kontakt z czymś nietypowym. Wyciągnęła notatki i zaczęła je przeglądać, a młodzi rodzice patrzyli na nią z nadzieją, jakby była ich ostatnią szansą. W końcu znalazła zapis o odpowiednich ziołach.

– Potrzebuję krwawnika i pięciornika – zwróciła się do młodego mężczyzny, Isana. – Wiesz, gdzie rosną?

– Tak, widziałem je w lesie. – Mężczyzna skinął głową.

– Dobrze. Zabierz mnie tam. Musimy zebrać je przed zmrokiem.

Arnella spojrzała na nią z wdzięcznością, ale Elysande nie traciła czasu na słowa pocieszenia. Razem z Isanem ruszyła do lasu, gdzie zebrali potrzebne rośliny. Po powrocie wyjaśniła mu, jak je suszyć i przygotowywać.

Pod wieczór, przy świetle lampy oliwnej, zmieszała zioła i przygotowała lekarstwo. Podała je dziecku, modląc się w myślach, by zadziało. Noc spędziła w domu młodych rodziców, nie spuszczać oczu z niemowlęcia. O świcie gorączka zaczęła spadać. Dziecko przestało wymiotować, a jego małe ciało, które wcześniej drżało w objęciach matki, teraz było spokojniejsze.

Arnella z ulgą zobaczyła, że malec zaczął ssać pierś.

– To cud... – wyszeptała, a łzy spływały po jej policzkach. – To cud... – Nie mogąc powstrzymać emocji, rzuciła się Elysande na szyję, ściskając ją mocno. – Dziękuję, dziękuję ci! Nie wiem, jak mogę ci się odwdziżyć.

Elysande, choć zaskoczona, delikatnie odwzajemniła uścisk. Czuła ulgę i satysfakcję, ale gdzieś w głębi pojawiło się ukłucie – wiedziała, że nie mogła zostać tu zbyt długo. Jednak na tę jedną chwilę pozwoliła sobie zapomnieć o obawach i przyjąć wdzięczność, która ją otaczała.

Wieść o nieznajomej, która uratowała dziecko Arnelli, rozeszła się po wsi szybciej, niż mogła się spodziewać. Ledwie zdążyła zebrać myśli po nieprzespanej nocy, gdy Arnella zawołała ją z izby. W głosie młodej matki brzmiało rozbawienie i podekscytowanie.

– Ktoś czeka na ciebie przy drzwiach – powiedziała, a w jej oczach błyszczała nadzieja, którą jeszcze niedawno zastępował strach o dziecko.

Elysande podeszła ostrożnie do wejścia. Ku jej zdziwieniu na progu stała grupka mieszkańców – kilku starszych mężczyzn, kobieta w średnim wieku i młoda dziewczyna. Wszyscy wyglądali na zmieszanych, ale zarazem pełnych niecierpliwości, jakby każdy miał ważną sprawę do załatwienia. Ich spojrzenia nie były już chłodne i podejrzliwe jak w dniu jej przybycia – teraz widać w nich było nadzieję, nieśmiałość i wdzięczność. Najbliżej stojący mężczyzna, miętoląc w dłoniach stary, zniszczony kapelusz, odchrząknął niepewnie.

– Panno... – zaczął, po czym przerwał, jakby przypominając sobie, że nie była już damą. – Zielarko... chciałem spytać, czy spojrzysz na moje kolano. Od zimy boli jak diabeł, a pracować trzeba.